

WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



Instytut głuchoniemych i ociemniałych
W WARSZAWIE.

Wielkiem jest nieszczęściem ślepotą, po niej zaś w kolei ciężkich kalectw słusznie stawiają brak słuchu i zawsze prawie towarzyszący mu brak mowy. Dziwić się przychodzi, jak późno ludzie poczuli się do obowiązku niesienia pomocy pozbawionym wzroku i słuchu, jak długo, głuchoniemych zwłaszcza, pozostawiano bez wiedzy tego wszystkiego, co każdy uważa za skarb najdroższy swojego ducha, bez pojęć o Bogu, społeczności i przyrodzie. Budowano szpitale, ochronki, domy dla opuszczonych dzieci, głuchoniemi tylko i ociemniali nie znajdowali współczucia.

Dopiero w XVI i XVII wieku zaczęto się poważnie zajmować wynalezieniem sposobu uczenia głuchoniemych. Między innymi odznaczył się Hiszpan Bonet, który pisał o alfabecie migowym, udoskonalonym później przez Percirę we Francji, gdzie w połowie XVIII wieku pełen poświęcenia

ksiądz de l'Epée w Paryżu założył pierwszy Instytut dla głuchoniemych, przyjął system migowy i ten nazwano szkołą francuską w Amsterdamie.

Po nim odznaczył się w Holandii Amman, dr. medycyny, który utrzymywał, że głuchoniemego można nauczyć mówić przez układanie odpowiednie ust, że tylko brak słuchu pozbawia go mowy. Tém dowodzeniem dał początek metodzie ustnej, zwa-

nęj niemiecką, którą rozwinął i udoskonalił Hejnicke w Lipsku, również założyciel Instytutu w tém mieście.

W kraju naszym myśl wzniesienia Instytutu dla głuchoniemych, na wzór zagranicznych, powzięła Komisya Edukacyjna, lecz nie miała niko-go, ktoby projekt ten w czyn zamienił. Trzeba było na to człowieka z poświęceniem, z powołaniem, umiejętnością wzięcia się do rzeczy, a takiego na razie nie było. W początku naszego stulecia na Wołyniu hr. Iliński ofiarował milion złotych na Instytut w miasteczku swoim Romanowie, lecz nieszczęśliwie trafił na Francuza, który cuda opowiadając i pisząc o mającym powstać zakładzie, nieumiejętnością swoją zniweczył dobroczynny plan i datek roztrwonił.

W 1804 r. ks. biskup wileński Kossakowski miał zamiar założenia Instytutu w Wilnie, na co przeznaczył 6000 złp. lecz i ten zamiar spełził na niczém.

W tym czasie żył w małym miasteczku Szczuczynie ks. Jakób Falkowski, pełniący tam obowią-

zek Rektora w szkole, którą sam założył. Ten, wysłany do Berlina, celem przyswojenia sobie i zaprowadzenia rozmaitych ulepszeń w tamtejszych gimnazyach przyjętych, nie omieszkał zwiedzić istniejącego już tam zakładu dla głuchoniemych, lecz nie mógł dociec, jakich środków używano do rozwijania umysłowego nieszczęśliwych istot, których postępom niezmiernie się dziwił.



Ks. Jakób Falkowski.

Przed samym wyjazdem do Berlina, wziął do siebie głucho-niemego chłopca, Piotra Gąsowskiego, którego poznał w domu swoich przyjaciół, aby go trochę oświecić, a tém osłodzić smutne jego życie. Lecz przez kilka miesięcy męczył się na próżno, próbując rozmaitych środków, ułatwiających porozumienie się nauczyciela z uczniem. Doszedł wreszcie do przekonania, że porozumienie takie nigdy nastąpić nie może i już zamierzał go odesłać opiekunom, gdy przypomniał sobie, że podczas podróży po Niemczech, zwrócił jego uwagę sposób nauczania w Lipsku, którego na razie zrozumieć nie mógł, a nawet w raporcie sam go potępił.

Zaczął z wielkim trudem, jak łatwo sobie wyobrazić, stosować tę metodę do swego ucznia i po kilku latach doszedł do tego, że uczeń razem z innymi do egzaminu w gimnazjum szczuczyńskim przystępował i zadziwił wszystkich delegowanych egzaminatorów.

Po tym popisie zaraz Izba Edukacyjna wezwała ks. Falkowskiego do Warszawy, aby przywiózł z sobą ucznia i przedstawił sposoby nauczania. W r. 1807 przyjechał z uczniem i żądany sposób nauczania na piśmie wyłożył.

Władza Edukacyjna przeto postanowiła dąwny swój zamiar założenia Instytutu dla głuchoniemych doprowadzić do skutku, a do dzieła tego użyć niestrudzonego ks. Falkowskiego.

Skromnemu jednak pracownikowi zadanie to wydało się za trudnem, długo też wahał się je podjąć, aż wreszcie zupełnie się od tego wymówił. Dopiero ks. Staszyc zachęcił zacnego kapłana gorącym przemówieniem do jego obywatelskich uczuć, a zjednany w ten sposób ks. Falkowski z najcięższym trudem i wielkimi ze swjej strony ofiarami starał się przedsięwziętą pracę doprowadzić do pożądanego końca. W 1815 r. Dyrektor Edukacji Narodowej St. Potocki zażądał od niego, aby się udał w czasie wakacyi do Wiednia, dla dokładnego zwiedzenia tamtejszego zakładu. Dostawszy na podróż 1800 złp. wybrał się ksiądz Falkowski bryką w 4-y konie, z 3-a głuchoniemy mi, aby to co zobaczy zastosowywać w praktyce. Zanim dojechał do Wiednia, skończył się już urlop jego, jako rektora szkoły szczuczyńskiej, postanowił jednak uwolnić się od tamtych obowiązków, aby godnie odpowiedzieć nowym. Fundusz, jaki otrzymał, na długo nie mógł mu wystarczyć. Niezrażony tém jednak, nie myślał o powrocie, a udał się z prośbą o pomoc do znanych z dobroczynności domów polskich w Wiedniu i te go nie zawiodły. Przebył tam 6 miesięcy, gromadząc potrzebne wiadomości, oraz układając plan prowadzenia Instytutu.

Poznał się między innymi z doktorem medycyny Siestrzyńskim, również jak on zamilowanym w nauczaniu głuchoniemych, który nawet porzucił swój zawód i bardzo korzystną posadę asystenta w jednym z większych szpitali, aby się poświęcić pracy dla głuchoniemych i jak później zobaczymy, wielkie zasługi położył w Instytucie warszawskim.

Powróciwszy, zajął się gorliwie ks. Falkowski założeniem i urządzeniem Instytutu, ciągle jednak spotykał trudności, jak się zdawało nie do pokonania. W samym początku dostał mieszkanie w pałacu Kaźmierowskim, składające się z 2-ch izdebek raczej niż pokojów, tak były nędzne; tam to pracował i przebywał z uczniami, których liczba szybko bardzo wzrastała i wkrótce doszła do 18-tu, gdy fundusz złp. 1440 wyznaczony był tylko na 6-u. Dobroć ks. Falkowskiego i chęć niesienia pomocy nieszczęśliwym nabawiła go nie raz wielkiego kłopotu; nie umiał bowiem odmówić przyjęcia przybywających chłopców, zapominając, że niema funduszu na ich utrzymanie. Przeznaczał na ten cel wszystkie swoje dochody, udawał się do dobroczynności publicznej, lecz wtedy jeszcze nie rozumiano potrzeby tej instytucji, nie bardzo też skwapliwie dążono z pomocą. Niekiedy zamiast niej rzucano żart gorzki; i tak naprzykład ktoś przysłał grosz w ozdobnej kopercie z napisem: „jaki cel, taka ofiara”. Troskał się zacny kapłan, widząc ostateczny brak wszelkich niezbędnych potrzeb, a nawet niejednokrotnie zmuszony będąc cierpieć głód ze swymi uczniami. Żalił się na niedostatek przed Władzą Edukacyjną, winy jednak nie składał na nikogo, przeciwnie, siebie zwykle oskarżał o brak zdolności zarządu, o niedołęztwo, jak je sam nazywał i prosił o zaradzenie złemu. Oto jego słowa: „Żle się dzieje w Instytucie, trzeba zbadać przyczynę złego, winowajcę ukarać, a budowę naprawić. Jedną z przyczyn złego stanu jest przyjęcie uczniów ubogich nad możność wyżywienia i utrzymania. Tym winowajcą jest rektor, ukarać więc go należy, skoro naprzymował ich tyłu, niech sam ich żywi. Ale są inne potrzeby wynikłe z naturalnego biegu rzeczy, z warunków samego wychowania itd.“

Różnych jednak sposobów używał i nie tracąc nadziei, ciągle kołatał do dobroczynności publicznej, a nawet do W. Księcia Konstantego, wreszcie do Cesarza Aleksandra I-go, który polecił zbadać potrzeby Instytutu.

Podniesiono też wkrótce fundusz na 18-u stypendystów, a że zakład mieścił się wtenczas w lokalu PP. Wizytek na Krakowskiem Przedmieściu, niedogodnym i nieodpowiednim, ks. Falkowski nalegał na wybudowanie własnego domu, pod który nawet gruntu nie było. Cesarz Aleksander,

znając ze słyszenia od W. Księcia gorliwość ks. Falkowskiego, przeznaczył na kupno placu 18,600 rubli.

Mimo to jednak rektor ciągle spotykał trudności, tak w przystąpieniu do budowy, jak i po jej rozpoczęciu, i te do tego stopnia zdawały się przechodzić jego siły, że kilkakrotnie w najkrytyczniejszych dla Instytutu chwilach podawał się do dymisji, czując się niezdolnym do prowadzenia tych wszystkich interesów. Zawsze niewiele o sobie trzymał, a wszyscy znali go z tej strony, że skromność jego nie była obłudną, czego jednym z wielu dowodów jest to, że gdy po śmierci ks. Burzyńskiego, biskupa sandomierskiego; powołano go na biskupstwo, odmówił przyjęcia, mieniając się niegodnym tak wysokiego dostojęstwa. Zdając raport, całą zasługę jakiego takiego porządku w zakładzie przypisywał ks. Chojnowskiemu, swemu przyjacielowi. Przekładał dobro Instytutu nad wszelkie względy miłości własnej, czego dowód mamy w przytoczonym tu wyjątku z odezwy ks. Falkowskiego do pana Hanusza, ekonomy Instytutu.

„Proszę cię także, abyś bynajmniej nie względny na mnie, ale na dobro prawdziwe ogółu, śmiało mnie ostrzegał we wszystkiem, coby z nieuwagi mojej, lub nieporozumienia, na stratę zakładu zadysponowane było”. Czytamy dalej w tej samej odezwie pełne słodyczy i chrześcijańskiej łagodności napomnienie, malujące serdeczny stosunek zwierzchnika do podwładnego: „Jeśli byś czasem niesprawiedliwe uczuł w czem zrażenie, wycierp je, ofiarując Bogu, a z rozważną stałością w postępowaniu twém dąż zawsze do tego, co dobro Instytutu, jego zachowanie, pomyślność, dobrą jego renomę ma na celu“.

Po wielu usiłowaniach i staraniach, przystąpiono wreszcie do położenia kamienia węgielnego pod mający się budować gmach własny dnia 26 Kwietnia 1826 roku. Pod względem nauk, zakład stał wtedy nie bardzo wysoko. Uczono: czytać, pisać, rachunków, gramatyki, religii, historii świętej, historii naturalnej. Dawano pewne wyobrażenia: o fizyce, geografii, historii powszechniej, historii polskiej. Ucząc historii, rozbudzano zamiłowanie do spraw dobrych, szlachetnych, a odrazę do złych. Dalej przygotowywano do poznania figur geometrycznych. Uczono jeszcze kaligrafii i rysunków, na które uczniowie chodzili do szkoły sztuk pięknych. Jest to spis z r. 1828, dziś bowiem zakres nauk wykładanych w Instytucie znacznie jest zoszerzony.

Książd Falkowski miał dzielnego pomocnika w osobie dra. Jana Sierzyńskiego, o którym wyżej wspominaliśmy. Obaj zajęci ciągle dobrem

swych wychowawców, powzięli zamiar nauczania ich litografią, dotąd w kraju nieużywaną, chcąc tym sposobem dać im środek zapracowania na własne utrzymanie.

Dla wiadomości młodych naszych czytelników wspominaemy, iż litografia została wynalezioną w r. 1799 w Monachium przez Senefeldą i odrazu w całej Europie zyskała sławę i zastosowanie.

Postanowili zatem sprowadzić potrzebne narzędzia i nauczyć się sami rzemiosła, aby następnie móżdź udzielać naukę jego głuchoniemym. Udał się Sierzyński do Monachium, a chcąc oszczędzić jak można najwięcej na korzyść zakładu z wyznaczonych na drogę pieniędzy przez Komisją Rządową Wyznań i przez księcia H. Lubomirskiego, protektora ks. Falkowskiego, podróż tę tam i napowrót odbywał piechotą. Obaj ci ludzie, z takim poświęceniem dążąc do jednego celu, to jest do niesienia pociechy głuchoniemym, różnili się w zdaniu co do zastosowania metody, skutkiem czego wielka w pełnieniu obowiązków gorliwość doprowadziła ich do sporów, które aż Komisya Rządowa rozstrzygać musiała, aby pogodzić zwaśnionych. Spór polegał na tém, iż ks. Falkowski utrzymywał, jakoby system migowy, który wprowadził ks. de l'Epée i Sicard, był do nauczania najodpowiedniejszym i najłatwiejszym, zwłaszcza przy małej liczbie nauczycieli; Sierzyński znów był za uczeniem mowy podług niemieckiej metody. Zgoda jednak nie zyskała przez to trwałych podstaw, Sierzyński nie odstępował od swego przekonania, a widząc, że się z niem nie utrzyma, wziął dymisję i powrócił do pierwotnego zawodu dra. medycyny.

Okazało się wszakże, iż miał słusność, dziś bowiem uczą mowy sposobem w Niemczech udoskonalonym, za pomocą odpowiednio urządzonych kościanych narzędzi, jakimi język układają, co stanowi kurs 1-jej klasy.

Trzeba przyznać ks. Falkowskiemu nieporównany dar dobierania sobie współpracowników, w których potrafił tchnąć swego ducha poświęcenia i zaparcia się siebie.

W broszurze swój p. t.: „O Instytucie Głuchoniemych Warszawskim 1819 r.“ mówi ks. Falkowski: „Kierować stopniowem rozwijaniem się wyobrażeń nie mało utrudza, ale błędne wyobrażenia przeistaczać, upór pokonywać, złe nałogi wykorzeniać, zdziczałe skłonności umarzać, to wymaga trudów, którym zaledwie wydoła siła człowieka. Trzeba osłonić się tarczą cierpliwości nadzwyczajnej, trzeba wyrzec się odpoczynku i wygody, trzeba połączyć razem troskliwość ojca i matki, przywiązanie najszczęśliwszego przyjaciela i uległość najniższego sługi; trzeba być niebaczny na jakie-

kolwiek względy, lecz równie nieszczęśliwym, równe zostawić prawo do przychylności itd.“ W tym duchu pomagała mu najsumienniejszą Maryanna Persowa, która przyjąwszy obowiązki kierownicze gospodarstwem, co z całą umiejętnością wykonywała, zajmowała się także wychowaniem głuchoniemych i ociemniałych dziewcząt przez 35 lat i jak się wyraża jeden z dzisiejszych nauczycieli Instytutu, p. Wł. Nowicki, w broszurze swęj p. t. „Książd Jakób Falkowski“ z 1876 roku: „Dziś jeszcze są w Instytucie ślady błogich wpływów Persowej na panny głuchonieme i ociemniałe“.

Takim był Siostrzyński, takim ks. Szczygielski, ks. Chojnowski, prof. Wysocki, Wądołowski, Dobrzycki.

W r. 1831 ks. Falkowski, usunąwszy się z powodu słabego zdrowia od obowiązków Rektora, które objął po nim Wawrzyniec Wysocki, nauczyciel w Instytucie, został proboszczem przy kościele Ś-go Aleksandra aż do r. 1837, ciągle jednak roztaczał nad zakładem opiekę i wpływ swój wywierał. Później w Sejnach przy biskupie Strazyńskim przebył 2 lata, lecz ulegając prośbom ks. Szczygielskiego, ówczesnego Rektora Instytutu, najgodniejszego następcy założyciela, powrócił do Warszawy. Ostatecznie w 1845 roku wyjechał do Guzowa na kapelana hr. Łubieńskiego, gdzie zostawał do wiosny 1848 r. a 2 Września tegoż roku zakończył żywot pełen trudu i poświęcenia, mając lat przeszło 73. Pomnik jego wykończony przez uczniów Instytutu ze składek, wrzucanych do puszek na ten cel przez głuchoniemych, ustawiony był przy wejściu do ogrodu miejscowego, na stuletnią rocznicę urodzin ks. Falkowskiego, która przypadała 29 Kwietnia 1875 roku. Na pomniku tym jest napis następujący:

Księdzu Jakóbowi Falkowskiemu
Założycielowi Instytutu Głuchoniemych
ur. 29 Kwietnia 1775
zm. 2 Września 1848
Wdzięczni Głuchoniemi.
1875 r.

Tyle o działalności założyciela, dowiedzmy się teraz o obecnym stanie Instytutu.

Za staraniem ks. Szczygielskiego i całego ówczesnego zgromadzenia, Instytut w 1847 r. zmieniony został z dobroczynnego na naukowy, to jest przeszedł z pod opieki rady miejskiej pod władzę Okręgu naukowego. Wkrótce trzeci z rzędu rektor ks. Szczygielski, po wysłużeniu 35 lat, złożył swój urząd w ręce dzisiejszego dyrektora, profesora b. szkoły głównej, Rady Stanu p. Jana Pąpłowskiego. Ma on do pomocy 30 osób, zajmujących się nauczaniem, intendenta, dwóch dozorców,

dwie dozorkynie, pomocnika dyrektora w oddziale mężczyzn i ochmistrzynią w żeńskim. Wychowawców liczy Instytut 170. Klas jest 6, a każdy nauczyciel, zaczynający uczyć w 1-jej klasie, prowadzi uczniów przez wszystkie następne.

Co do nauk, oprócz wyżej wymienionych przedmiotów, dodano inne jak: botanikę, mineralogią, która zaznajamia dzieci z ciałami kopalnemi, mającemi zastosowanie w przemyśle i gospodarstwie, metalami więcej używanemi i drogiemi kamieniami; następnie naukę o stosunkach społecznych, przy której tłómaczą znaczenie: rządu, monarchy, władz krajowych, oraz obowiązki każdego mieszkańca w stosunku do społeczeństwa itd. higienę, jak należy zabezpieczyć zdrowie i życie. drzeworytnictwo, rzeźbiarstwo, drukarstwo. Z rzemioł uczą: stolarstwa, introligatorstwa, krawiectwa, szewstwa, tokarstwa, ślusarstwa, powroźnictwa, szcztokarstwa i koszykarstwa. Nauki rzemioł jednak przełożeni nie mogą posunąć tak daleko, jakby to było do życzenia, gdyż mają na to za mało czasu przy obowiązkowych naukach; dochodzą więc tylko wychowawcy do zręcznego władania narzędziami; wyrabiają jednakże niektóre rzeczy, jak: szcztoki, powrozy, koszyki itd. dość dokładnie. Wyroby te nie tylko można widzieć, lecz i kupować na korzyść Zakładu. Każdy uczeń, po ukończeniu kursu sześcioletniego (z wyjątkiem tych, którzy powracają do rodziców) obiera sobie podług upodobania lub zdolności jedno z rzemioł i idzie do terminu, gdzie przebywa dopóty, póki nie uzyska tak zwanego wyzwolenia, czyli świadectwa uzdolnienia się na czeladnika.

Są uczniowie sieroty lub biedni, w takim razie Zakład nigdy im nie odmawia pomocy, ani materialnej ani moralnej. W oddziale żeńskim uczą rozmaitych robót ręcznych, szycia na maszynie, nawet co roku wykończają całe wyprawy, bardzo gustownie i akuratnie.

Ociemniałych uczą: religii, czytania na wypukłych literach, umyślnie dla nich wyrobionych, również pisania z pomocą odpowiedniej maszyny, języka polskiego, arytmetyki, geografii, wiadomości z nauk przyrodniczych (zoologii, botaniki, mineralogii, fizyki) historii powszechniej, literatury polskiej; śpiewu, muzyki na fortepianie i skrzypkach.

W warsztatach wyrabiają koszyki rozmaitej wielkości, słomianki, wyplatają krzesła. Czeszą len i konopie, z tego kręcą szpagat, sznury; ze sznurów wyrabiają: drabinki, przyrządy do gimnastyki, ze szpagatu taśmy, rzeczy siatkowe, jak wreczki do cebuli, torby myśliwskie, hamaki itd. Wyrabiają nadto szcztoki różnej wielkości z włośnia końskiego, szczeciny, flaksu i korzenia ryżo-

wego, do czyszczenia obuwia, ubrania, kapeluszy, i do mycia podłóg. Również szczotki do kurzu, do zamiatania, do włosów i stolików do kart.

Ociemniałe dziewczęta, oprócz robót na drutach i szydełkowych, z bawełny i włóczki jak: kaftaniki, kamasze, chustki, szaliki, czepeczki, pelerynki, szyją gładką bieliznę np. prześcieradła, powłóczki, koszule, kaftaniki, spodniczki, a co godne zastanowienia, same igłę nawłóczą.

Dobry Bóg, odbierając jedno, nagradza drugim; najnieszcześniejszym tym istotom w nagrodę wzroku, rozwija zmysł dotykania w stopniu prawie niepojętym. Przegląd Katolicki tak opisuje zgromadzenie Sióstr niewidomych Świętego Pawła w Paryżu. „Do klasztoru przyłączona jest ochrona dla dziewcząt niewidomych, utrzymywana przez zakonnice, pozbawione wzroku. Szczególne metody czytania i pisanie stosowane tam są z wielkim pożytkiem. Siostry niewidome uczą najdelikatniejszych robót na drutach, muzyki, śpiewu i mnóstwa rzeczy, którychby trudno było uczyć nawet widzącym.

Siostry niewidome i także ich wychowanki, uprawiają ogród klasztorny. Przy pieleniu, przez dotknięcie rozpoznawają chwast od pożytecznych roślin. Modlitwa, praca i nauczanie zapełniają dzień Sióstr niewidomych...”

„Nadzwyczajną posiadają one pamięć dźwięków: raz usłyszany głos rozpoznają zawsze wśród innych. Każdą swoją towarzyszkę poznają po chodzie, stapaniu, a nawet po oddychaniu; odgadują obecność obcego, bytność w pokoju dwóch lub trzech osób. Gdy która Siostra jest w pokoju, wie czy ogień pali się na kominku i wie w jakiej od ogniska znajduje się odległości. Po prądzie powietrza, muszczącego jej twarz, poznaje, czy jest w dziedzińcu, czy na ulicy, czy w szopie, czy w zamkniętym mieszkaniu. Ciężkość przedmiotów tak łatwo mogą ocenić, iż ręce ich są prawdziwymi wagami. Repetierów nie potrzebują, tak dokładnie miarkują czas od jednego do drugiego, choć mało znaczącego faktu upłynionego.

Niektóre Siostry pielęgnują swoje towarzyski chore, odgadują choroby i wskazują lekarstwa. Najmniejsze zmiany atmosfery poznają i nigdy nie mylą się co do stanu pogody.“

Nigdy podobno nie narzekają na swoje położenie, owszem, wszędzie widzą dobrodziejstwa Boga, których nie czują się być godnemi.

Wielką niezaprzeczenie mają zasługę przed Bogiem i ludźmi poświęcający czas swój i trudy na kształcenie głuchoniemych i ociemniałych; spełniają bowiem jedno z najpiękniejszych zadań ludzkości, samym zaś nieszczęśliwym, oddzielonym

od niej kalectwem, otwierają drogę, powracającą ich na łono społeczeństwa.

K. Sz.

BRANIEC TATARSKI,

opowiadanie na tle historycznym osnute,

przez Maryą Świdorską.

(Dalszy ciąg.)

I porwali go nam, wlokąc za innymi i wszystkimi na jeden powrót ściągając. Patrzyliśmy wzrokiem osłupiałym, nie pojmując, co to będzie... Tymczasem Tatarzy ustawili się w długi rząd i wydali przeciągły, okropny świst... W tej chwili chmura strzał gwizdnęła w powietrzu, a my padliśmy twarzą do ziemi... Kiedy się podniosłem, nie było już tej gromady jeńców naprzeciw nas, wszyscy leżeli we krwi zboczeni. Zginęli od strzał tatarskich w jednej chwili, żeby nie przeszkadzać w ucieczce.

Brat mój, gdy główkę podniosłem i zobaczyłem, co się dzieje, padłem jak martwy na ziemię; przypadłem go cucić, i sam ledwie żywy z przerażenia i grozy. W koło nas szlochanie i jęk straszny, a tu pohańce pędzą dalej. Nas dzieci i kobiety na wozy lub na konie wrzucają, resztę na powrozach ciągną, przytroczywszy u siodła. Gdyby nie brat, zdaje się, że umarłbym był z żalu i grozy, widząc, jak za nami zostawała niby mogiła z ciał pomordowanych; wreszcie wszystko znikło z oczu, tylko przed nami i za nami step niezmierny.

I znów pędziliśmy aż do nocy w dzikim pośpiechu. Braciszek przyszedł do siebie, ale rzewnie płakał i wołał starego szlachcica, co jak ojciec opiekował się nami. I mnie serce się z bólu krajało, ale pocieszałem brata, jak mogłem: Widzisz, mówiłem, oni teraz wolni, do Pana Boga poszli i może na nas z Nieba już patrzą i nie ich nie boli, niczego się nie boją, tak, jak ci święci męczennicy, co nam o nich matusia nieraz opowiadała. Kiedym wspomniał matusię, obaj rzewnie płakać zaczęliśmy i wśród tego płaczu Bóg nam zesłał sen twardy znowu, żeśmy na chwilę zapomnieli o trwodze i swojej tęsknocie.

V. OBYCZAJE TATARÓW. — NAJGORSI NOHAJCE. — JAK ŻYJĄ. — CO JADAJĄ. — JAK WYGLĄDAJĄ. — KOTARHY. — ŁOSZAKI.

— I ciągnęliśmy stepem coraz dalej a dalej. Tatarzy widząc, że ich mięsa, upieczonego pod kulbaką na koniu, brańcy jeść nie mogą, a bojąc się, by nie potracić ludzi, którzy dla nich cenny towar stanowili, zabili kilka owiec i z tych mięso nad

ogniem upieczone nam dawali, pozwalając je zapijać mlekiem świeżem.

— A jakże to oni swoje jadło przygotowują? — spytał pan Gozdawa — bo u nas rozmaite rzeczy o tém opowiadają, a nie wiadomo, co prawda, a co fałsz.

— Jużto na Krymie, po miastach, dobrze sobie żyją Tatarzy i nawet rozlicznych wygod używają, ale te ich hordy, co się tułają po stepach, za Dnieprem, aż po Don i Wołgę, jak „Nohajcy” rozbitki Złotój Hordy, żyją w wielkiej dzikości i barbarzyństwie. Nie orzą ani sieją, nie znają chleba ani jarzyn; za to bydła i wszelkiego dobytku dużo chowają; u jednego bywa po kilkaset owiec, po kilkanaście wielbłądów, po kilkadziesiąt krów, wołów i kłaczy. Jedzą chętnie wilki i lisy, które w polach biją. Pieniędzy nie znają, a gdy do nich przybędą Tatarowie z Czerkas z sukmem i płótnem, to im płacą sztukami trzody swojej. Najlepsza zwierzyna dla nich, kiedy bydle padnie. Twierdzą, że to co sam Ałlah (Pan Bóg) zabił, to jeść trzeba. Zresztą ze skór bydłych robią wory; w te doją mleko kłaczy, wielbłądzie, owcze itd. kwaszą je, odlewają serwatkę, a zgęstniałą na ser wylewają na opończę, na której zwykle sypiają i tak się to suszy na słońcu; a jedno i drugie przechowują na zimę, bo drzewa nie mają, żeby sobie co ugotować mogli, tylko czasem suchą trawę zapalają. Większe kawały mięsa, jak mówiłem, pod siodło kładą, żeby się tam rozparzyło i wymacrowało, a takowe ze smakiem jedzą.

— Ach! jakież to szkaradne! — wykrzyknęły dziewczęta.

— To jeszcze nie koniec; kiedy im bydło wyginie od pomoru lub nieprzyjaciela jakiego, to się nieraz zdarzy, że syn ojca zabija i zjada; rodzice zmarłe dzieci z ziemi wykopują i pożerają *).

Wszyscy słuchali grozą przejęci, a Gozdawa pytał:

— Czyście to wszystko na własne oczy widzieli?

— A jakże — odpowiedział młodzieniec — długiem ja lata między nimi przepędziłem i bywałem na stepach, w domkach ich, czyli namiotach, zwanych kotarhy, co sobie klecą z pilśni owczej lub

*) Tak opisuje współczesnych sobie Nohajców Bielski, historyk XVI w. Naruszewicz, znakomity nasz historyk z czasów Stanisława Augusta pisze, że Dżyngis-han takie prawidła zostawił swoim poddanym: „Jeśliś głodny, szukaj posiłku z myśliwstwa i łuku, albo zaciąwszy konia w żyłę krew jego wypij; jeśli chcesz tęższego pokarmu, zrób z owcy pieczenie, podłóż ją pod kulbakę, prędko się ona rozparzy, a ty ją pozrzyj: jeżeli ci się gdzie zdarzy znaleźć gałgan sukna, albo kawał kozucha porzucony, przyszyj go do twojej sukni, choćby nowęj, abyś potem naprawki nie potrzebował szukać“ i t. d.

wielbłądzięj, ubitej na grube sukno. W lecie i tego nie potrzebują, koczując z miejsca na miejsce, gdzie lepsze pastwisko. Wielki to już pan u nich, co na dwóch wozach majątek swój i dom wieźć musi, zaprząglszy wielbłądy lub woły. I konie tatarskie dziwnie wytrzymałe *) bez paszy się obchodzą, często poprzestają na liściach suchych lub korzonkach, z ziemi kopytem wygrzebanych. Konie te, *łoszaki*, niewielkie, cienkie i długie, niepozorne ale silne, ubiegają i 20 mil na dzień, nie lękają się ani ognia ani wody. Czasem w polu nad wodą stoi jaka świątynia pogańska; tu Tatarzy schodzą się i składają bogom na ofiarę pierworodne bydło swoje, połowicę pałac a połowicę karmiąc ptaki i różne zwierzęta; ztąd wielka tam moc bywa sępów, orłów, kruków i t. p.

Dzkie te hordy najwięcej szanują hana z Perkopu, co na Krymie siedzi, ale i tego nie zawsze słuchają tak, że się im okupywać musi albo wojować z nimi *). Ci to właśnie Nohajcy, których sporo było w naszym koszu, wymordowali jeńców tam na stepie; nawet wyglądali daleko straszniej od innych z czarnymi wypukłemi ogromnie oczami i głową goloną, na której jeden tylko kosmyk zostawiają, koło ucha zakręcony; twarze ich śniade, szerokie, zęby jak u wilków. Już Tatarzy Krymscy daleko więcej do ludzi podobni.

VI. NA KRYMIE. — PRZEPRAWA PRZEZ DNEPR. — GORĄCZKA KRYM. — NIEWOLNICZY TATARSCY. — GRODY I MIASTA.

Tymczasem pędzili nas Tatarzy coraz dalej ku południowi. Czwartego dnia od czasu porwania naszego, o zachodzie słońca, stanęliśmy nad rzeką ogromną, o żółtawych wodach, co się z wielkim szumem rozbijała na kamiennych skałach, przerywających jej koryto w poprzek, niby olbrzymie progi. To Dnieprowe porohy! Nad brzegiem rzeki zatrzymaliśmy się na noc, ale jakże nam jeńcom nieszczęśliwym straszno było myśleć, że to ostateczna ziemi naszej granica! Jutro powloką nas dalej w kraj obcy, straszny; dziś jeszcze, choć w niewoli, ale widzimy w koło siebie szerokie, bezmierne, jak okiem zajrzeć stepy Ukrainy. To też gdy wieczorem, przed snem, choć znużeni śmiertelnie, ukłękaliśmy wszyscy do pieśni nabożnej, całowaliśmy z płaczem ziemię u stóp naszych, jak gdyby żegnając ją na wieki.

Nie było już naszego szlachcica, co niby ojciec

*) Pisze Gwagnin, historyk XVI w. (który podobno wiadomości historyczne zapożyczył od Strykowskiego i pod swoim je wydał imieniem).

*) I tak w 1510 r. Car krymski dwakroć poraził Tatarów Nohajskich nad Donem i zabrawszy im z 70,000 ludzi, głównie kobiety i dzieci, do hordy swęj zapędził, poczem Nohajcy spokornieli.

czuwał nad całą gromadą, ale teraz miejsce jego zajął ksiądz, zakonnik w habicie kapucyńskim, którego jakoś pohańcy oszczędzili, myśląc zapewne, że to czarownik jaki; bali się dotknąć jego i paciorek, które w rękę trzymał, odmawiając często różaniec, ale pędzili go z innymi w jasyr, gdyż był jeszcze zdrów i silny. On to z rana o świcie i przed nocą pierwszy intonował pieśń do Bogarodzicy, a wszyscy za nim, kto tylko miał siłę jeszcze usta otworzyć. O świcie Tatarzy zaczęli się gotować do przeprawy przez Dniepr i to bez łodzi i bez mostu żadnego.

— A tom ciekawy, jak sobie poradzili, mości panie? — pytał pan Gozdawa.

— Dziwne oni na wszystko mają sposoby; oto i teraz, konie wiążąc po kilka i przyczepiając im snopy z trzciny, żeby lżej było płynąć, związywali im też i ogony razem. Kiedy takie żywe tratwy były przygotowane, co sporo czasu zabrało, zaczęli wsiadać, nas jeńców także powiązanych na koniach przymocowując, i wybrawszy miejsce, gdzie rzeka mniej bystro pędzi, dziko wrzeszcząc na konie, rzucili się wpław do wody. Pewny byłem, że ostatnia godzina nasza nadeszła, ale i tym razem nas Opatrzność ocaliła. Ile czasu trwała przeprawa, nie wiem, bom ledwie żywy ze strachu obejmował z całej siły brata, żeby mi się nie wysunął. Wreszcie zmoczeni, zbici, znaleźliśmy się na drugim brzegu. Nie obyło się bez szkody; kilka kobiet z dziećmi utonęło; jedną, jak dziś pamiętam, co omdlawszy wypuściła z ramion dziecko, a kiedy oprzytomniała już na brzegu, skoczyła jak szalona i rzuciła się w rzekę, nim ją Tatarzy pochwyć mogli.

Bydło, powiązane za rogi i ogony, wielkimi tykami popychali Tatarzy na brzeg, ale wiele się podusiło i pozabijało; te pochwyćwszy, zaczęli po swojemu na jądło przyrzadzać. Wozy, o wysokich dwóch kołach każdy, poprzewlekali jako tako na drugi brzeg i tam dopiero, po ciężkiej przeprawie, rozpoczął się popas.

Co dalej było, nie umiem powiedzieć: zziębnięty, przemokły, straciłem przytomność i leżałem w gorączce. To mi się zdawało, że woda zalewa mi nogi, ręce, szyję, podchodzi coraz wyżej, dusi i zalewa, wrywałem się i broniłem z całej siły; to znów czułem niby, jak matka się pochyła nademną i głowę moję bierze w ręce swoje, ale te ręce jakoś palą, niby ogień, i pali się głowa cała i pęka z bólu strasznego. Musiałem długo tak cierpieć i tak mię nieprzytomnego wleki dalej, coraz dalej.

Kiedyś, pamiętam, otworzyłem oczy: nademną braciszek siedzi i płacze, a żyzy jego spadają mi na czoło jedna po drugiej i staczają się, jak perły po

twarży mojej. Patrzyłem długo, długo, aż wreszcie wyciągnąłem ręce i zarzuciłem mu na szyję.

— Ty żyjesz, bracie mój! — wołał i płakał mocniej jeszcze, a blada twarzyczka jego tuliła się do mojej — myślałem, że już się nigdy na mnie nie spojrzysz, nigdy nie przemówisz swoim głosem prawdziwym, nie tym okropnym, którym wołałeś pierwój i matusi i tatka, to znowu groziłeś pohańcom — i całował biedactwo moje ręce, a ja się wpatrywałem w jego wychudzoną, białą twarzyczkę i zdawało mi się, że to jeden z tych aniołków, co je na obrazku w kościele widywałem.

— Gdzież my jesteśmy? — pytałem — co się stało? Wkoło nas zielona równina, ale to już nie step, bo w oddali widzę pagórki, a tuż obok jakieś dziwne domostwa, jakich nigdy oczy moje nie widziały przedtém. A powietrze dziwnie ciepłe i miłe; wietrzyk orzeźwiający od wschodu zawiewa, słońce czerwono zachodzi gdzieś za górami.

— My w Krymie — brat odpowiada.

Nieraz iny w bajkach słyszeli o tym Krymie, gdzieś nad morzem, gdzie to zimą, zamiast śniegu, róże zakwitają, i w pieśniach śpiewaliśmy o zielonym Krymie za Perekopem, a teraz tam nas Tatarowie w jasyr zawiedli! Tam kraj piękny i grodów dużo stoi, co je pohańcy innym ludom poodbierali: *Kaffa*, nad samém morzem Czarném, *Bakczysaraj* i blisko *Kaffy* gród wielki i piękny, co się *Krym* zowie, a od niego i cały półwysep tak nazwany. Ten półwysep, w koło morzem oblany, wązkim tylko paseczkiem ziemi (Perekop) ładu się trzyma.

Kiedyśmy przez ten przesmyk jechali, nie nie widziałem, bom w gorączce leżał na wozie, ale brat mi mówił, że po obu stronach widać było morze szerokie bez końca, co się od słońca srebrzyło i szumiało mocno, a środkiem szedł pas ziemi zielony, niby wstęga i ten nas zawiódł do Krymu. Tu zaczęli Tatarzy rozdzielać jeńców: jednych Kołga, co w nieobecności hana całą gromadą dowodził, rozdawał po dwóch, po trzech i więcej swoim Tatarom, żeby im po wsiach służyli, na nich pracując, innych pędzono do miast, żeby ich ztamtąd na sprzedaż do Carogrodu wyprawiać. Nas obu z bratem zatrzymał dla siebie jakiś urzędnik *Kałgi* i ten nas do swojej zabrał osady.

Na Krymie wielka moc żyje niewolników, co koło roli dla panów swych pracują, bo Tatar, zły rolnik, pracować nie lubi, tylko do wojny i rabunku skory. Żyją tam w niewoli i Włochy, co dawniej swe osady *) mieli na półwyspie i Gruzini

*) Przed samą nawałą mongolską cały półwysep rozdzielali między sobą Grecy bizantyjscy i Włosi. Chodziło im tu głównie o handel, który się prowadził ze Wschodem (z *Azją*). W *Kaffie* głównie panowali *Genueńczycy*, rozciągając handel swój aż do Chin i Indyj. Oprócz nich *Weneccya* i *Piza* miały na pobrzeżu krymskim swoje osady.

i Czerkiesi z pod gór Kaukazkich, ale najwięcej naszych Polaków i Rusinów, szczególnie z ludu prostego. Ze szlachty mniej się tam dostawało, bo ginęli w obronie po większej części, a niejeden znów bywał wykupiony przez rodzinę, co się do ostatniego ścigała, byle ojca czy brata oswobodzić z jasyru; ale biedniejsi, nie mogąc złożyć drogiego okupu, do śmierci zostawali w niewoli pogańskiej. Smutno powiedzieć, ale wiele, zwłaszcza z ciemnego, nieoświeconego ludu, zapomniało Boga i ojczyzny, wiary i języka swego; żenili się tam, a dzieci ich, nie pomnąc już nawet na pochodzenie ojców, szły nieraz z Tatarami rabować macierzystą ziemię.

U naszego pana, co co się zwał Edyga-bey, dużo było rozlicznych niewolników. I niemożna powiedzieć, żeby ci pohańcy bardzo ich dręczyli; męczą co prawda tych, od których się spodziewają okupu, żeby tém mocniej nalegali na swoich o przysłanie pieniędzy i kosztowności, ale z innymi nieźle się obchodzą, i nawet czasem wolność im darują, bo to ich religia zaleca. To właśnie bieda, że wszystkich do tej swojej wiary nawracać chcą gwałtem, i niejednemu srogie męki zadają, żeby od niego wymusić wyrzeczenie się Chrystusa Pana.

Między niewolnikami Edygi-beya znajdował się człek już niemłody, co od lat wielu w jasyrze zostawał. Oswoił się już widno ze swym losem i smutny był, ale spokojny, a Tatarowie szanowali go wielce; miał też nadzór nad wszystkimi niewolnikami pana swojego. Zmiarkowaliśmy wprędce, że nam sprzyja, choć się na razie do nas nie zbliżył, a tylko w czasie choroby mojej, jak mówił brat, często w nocy nawet przychodził i jakieś mi zioła przykładał i napoje chłodzące dawał.

Kiedyś, pamiętam, z rana, o wschodzie słońca, przykłękliśmy oba i według zwyczaju śpiewaliśmy pieśń do Bogarodzicy; wtém nadchodzi stary z rzemienną pletnią, którą miał niewolników do pracy naganiać; groził nią też nieraz i krzyczał, ale rzadko się zdarzało, żeby kogo uderzył. Teraz rzucił okiem na nas obu, przystąpił i słuchał z daleka pieśni; kiedyśmy skończyli, patrzę, a jemu po ciemnej, opalonej twarzy, płyną dwie grube łzy aż na siwą brodę. Zbliżył się, położył mi rękę na głowie, a brata po jasnych włoskach pogładził, ale nie rzekł ani słowa i jak zwykle, nazначzył nam robotę w winnicy; na Krymie bowiem piękne dojrzewają winogrona. Wina jednak Tatarowie nie piją, bo im Prorok ich Mahomet, którego wiarę wyznają, zabronił używać tego napoju.

— Mądry to był człowiek, ten Mahomet --- wyrzekł pan Gozdawa — że bestyjstwu temu napitków gorących zabronił. Już i tak dzikie to, jak zwierz

leśny, cóżby dokazywali, gdyby się jeszcze napijali.

— I wieprzowiny im także jeść nie wolno, bo to ma być nieczyste zwierzę.

— Pewno, mości dobrodzieju, czyściejsza ta konina zdechła, co ją pod siodłem wydusza, od naszej kielbasy, abo schaba ze śliwkami! Głupi naród, że się na tém nie zna. Ale mniejsza o jadło; gadajno waćpan, coś tam więcej między tém plugawem Tatarstwem widział i słyszał, boś się przecie i ich języka nauczyć musiał?

— A jakże, tylko to nie tak łatwo poszło. Pracy zbyt ciężkiej nie mieliśmy; najwięcej, jak mówiłem, koło winnicy; potem przy dojeniu owiec, których moc wielką Tatarowie trzymają, bo prócz mleka, potrzebują ich wełny na odzież swoje; okrywają się zwykle białą opończą z wełny owczej lub ciemną, z wielbłądzięj sierści ubitą.

Niedaleko siedziby Edygi był wielki gród, *Krym* *) tak wielki, że jeździec na dobrym koniu zaledwie w pół dnia mógł go objechać, a stały tam piękne gmachy i nawet szkoły. Meczety też, czyli świątynia tatarska, zdobny był marmurem i purpurą. Do tego Krymu przybywali kupcy aż z Azji, z Chiwy, wioząc rozmaite zamorskie korzenie, drogie futra, materye jedwabne itp. Mieszkańcy tego grodu, skąpi a chciwi, złoto do skrzyń zamykali, biednym nic nie dając, a tylko z pobożności meczety wspaniałe budowali. Han jednak nie tu mieszka; dawniej przebywał, gdzie mu się podobało; w *Kasie*, *Karasubazarze* itp., ale mężny han Mengli Girej, który tam teraz jeszcze panuje, osiadł w *Bachczyseraju*, nad rzeką Czuruk-su, na południu półwyspu i tam się teraz liczy stolica państwa tatarskiego na Krymie.

— Oj! dzielny to musi być ów Mengli Girej, bo się naszym nieraz dał we znaki — rzekł pan Gozdawa.

— Tatarzy go czczą, jakby jakiego półboga, ale bo też on wiele dokonał w swém życiu, i teraz jeszcze, choć podeszły w wieku, nie siedzi beczynie. Sam sułtan turecki w Carogrodzie bardzo go szanuje.

— A sułtana waćpan nie widziałeś też przypadkiem? — pytał Gozdawa.

— Na szczęście moje do tego nie przyszło, choć już blisko było, Tatarowie bowiem mają zwyczaj, wybrawszy co najdorodniejsze z pacholąt chrześcijańskich, wyprawiać takowe jak bydło na targ do Carogrodu, albo posyłać w podarku możnym dostojnikom tureckim, co ich poturczywszy do służby swęj używają, albo do wojska przypo-

*) Miasto *Krym* było stolicą półwyspu; do dziś dnia oglądać można zwaliska grodu tego.

sabiają. Nie jeden doszedł do wysokich zaszczytów i bogactw, zapomniawszy ojczyzny i Boga, a setki ich co rok idą do szkół tureckich, gdzie ich do wojska uczą. I nas pewno byłby Edyga-bey wyprawił do Turcyi, ale żeśmy strasznie byli wynędzniali, chciał nas trochę odżywić, i nas czas jakiś w Krymie zatrzymał.

(D. c. n.).

dworzan i panów; w pośrodku rynku, na wzniesieniu sztucznie urządzone, stały dwa krzesła; król i królowa, wszedłszy po wschodkach na to wzniesienie, zasiedli na krzesłach. Obok królowej Bony skupił się cały dwór kobiecy, obok króla panowie, między tymi widać było białego jak łabędź, osiwiłego starca, księcia Ostrońskiego, który to nie tak dawno pobił pod Orszą nasłanych przez Glińskiego wrogów; widać było młodego, dzielne-



Rolnik i woły.

ROLNIK I WOŁY.

Woły pracowite, do nocy od rana,
Pracują ochoczo dla dobrego pana;
A pan lubi woły, dba o ich wygodę,
Daje im jedzenie, obórkę i wodę.

Gdyby obowiązki swoje w każdej chwili,
Wzajem względem siebie, wszyscy tak pełnili,
Nikomuby nigdy nie zbrakło na chlebie,
Byłoby jak w raju, jeśli nie jak w niebie.

Azet.

PAMIĘTNE CHWILE.

Dnia 8 Kwietnia r. 1525, odbyła się w starej stolicy wspaniała uroczystość: około południa zjechały na rynek krakowski pojazdy królewskie,

go hetmana Jana Tarnowskiego i wielu innych walecznych mężów, najbliższemu zaś tronu stał syn królewski, Zygmunt August, młodziuchno jeszcze chłopię, który na tak wielką uroczystość przybrał nad wiek poważną minę. W około rusztowania, już niżej, zebrali się mieszkańcy Krakowa, niecierpliwie czekając przybycia obcych.

Nareszcie zaturkotały na rynku krakowskim pojazdy księcia pruskiego, wnosząc za sobą tumany kurzawy, wkrótce potem wszedł na wzniesienie, szkarlatem pokryte, Albrecht, niósł on w ręku wielką chorągiew, tuż za nim postępowali trzej bracia, Jerzy, Kazimierz i Jan. Albrecht zbliżył się do tronu, ukląkł przed królem i przysięgę wierności począł wymawiać. Głośno, dobitnie w obec zebranego ludu i panów, przyrzekał, że uznaje się za lennika Zygmunta Starego, przysięgał mu wierność i posłuszeństwo, obiecywał, że ile razy nieprzyjacieli na Polskę napadnie, on natych-

miast sam z pomocą przybędzie. Skończywszy przysięgę powstał, lecz teraz przyklękli jego bracia i przyrzekli, że w razie śmierci Albrechta, ten, który po nim księciem pruskim ogłoszonym zostanie, hołd Zygmuntowi złoży.

Po odbytej ceremonii król zaprosił gości na zamek na ucztę, a z jego rozkazu podskarbi, jadąc za nim na Wawel, rzucał między lud pieniądze. Lud cisnął się za pojazdem podskarbiego, chwycił pieniądze i krzyczał z radości. Grzmiały dzień cały te okrzyki radości po ulicach Krakowa, brzmiały pieśni wesole, bo też był to dzień radosny, hołd księcia pruskiego zapewniał pokój Polsce. Kiedy u nas wstąpił na tron Zygmunt I, w tym samym czasie w sąsiednich Prusach zachodnich mistrzem obrany został Albrecht brandenburski. Mistrzowie krzyżacy od czasu pokoju toruńskiego, za panowania Kazimierza Jagiellończyka, hołd królom polskim składali, dumny Albrecht uczynić tego nie chciał; zrzucił płaszcz krzyżacki, zamknął zakon i księciem się ogłosił. Zygmunt Stary wypowiedział mu wojnę i trwała ona lat kilka, nareszcie pobity Albrecht ukorzył się i przyrzekł, że jeśli Zygmunt przyzna mu tytuł księcia, on hołd złoży, co też się stało, a chwilę tę odbyto uroczyste dnia 8 Kwietnia r. 1525 *).

Teresa Judwiga.

LISY Z WARSZAWY.

Kazio do Maryni.

Kochana siostrzyczko! List ostatni pisałem do ciebie w czasie postu i podobno, podobno... bardzo był nudny. Tłómaczyłem się tęp, że w poście nic jakoś zabawnego nie słyhać było w Warszawie; a jednak myliłem się, bo oto i dziś zamierzam opowiadać ci o tęp, co się działo jeszcze przed Wielkanocą i mam nadzieję niepłonną, że cię to zajmie.

Pamiętasz, siostruniu, jak to my nieraz urządzaliśmy sobie w domu żywe obrazy i szarady. Przyjemna to jest bardzo zabawa, ale my nie mieliśmy nawet wyobrażenia, czém to mogą być żywe obrazy i szarady, jeżeli się do nich wezmą starsi, i to tacy, co się znają na rzeczy. Niedawno właśnie w Warszawie urządzono przepyszne widowisko z żywych obrazów w teatrze na cel dobroczynny. Przedstawiano sceny z poematu Mickiewicza: Pan Tadeusz. Więc był tam i sam pan Tadeusz,

*) Chwilę tę przedstawia znakomity obraz naszego mistrza Matejki. Hołd Pruski.

i Zosia, i pan Wojski, i hrabia, i Protazy z Gerwazym, a wszyscy w stosownych strojach.

Ale publiczne to widowisko, z powodu cen bardzo wysokich, nie dla wszystkich było dostępne, skromne uczniowskie kieszenie musiały sobie odmówić tej przyjemności, i ja też tylko ze słyszenia wiem o tych obrazach z Pana Tadeusza, które się powtórzyły drugi raz po Wielkiejnocy.

Udało mi się za to być świadkiem bodaj czy nie piękniejszych jeszcze obrazów żywych, urządzonych w domu prywatnym, w salonie hrabiny R. Te ci opiszę ze szczegółami, siostrzyczko, a pewnie z zajęciem czytać będziesz, bo to naprawdę było prześliczne.

Pierwszy obraz przedstawiał Jana Kochanowskiego w chwili, gdy przyjmuje w wiejskim swoim zaciszu, w ulubionym Czarnolesiu, kanclerza Jana Zamojskiego. Nie łatwa to sprawa dobrać stroje z tych dawnych czasów, a orszak kanclerza musiał wystąpić z wielką okazałością. Ale ba! pewny jestem, że nawet w rzeczywistości nie mogło to wspaniałej i piękniej wyglądać. Wszak czytałaś, siostruniu, znaną powieść Hoffmanowej: *Kochanowski w Czarnolesiu*. Masz pewnie przed oczyma całą tę scenę, gdy poeta w gronie swej rodziny, z ukochaną Urszulką u kolan, przyjmuje znakomitego męża, druha swojego. Wyobraź sobie, jakiegośmy doznali wrażenia, patrząc na te wszystkie postaci, jakby naprawdę żyjące; bo starano się nawet wybrać do tego obrazu osoby, których powierzchowność i rysy twarzy doskonale się nadawały do tego. Strój stosowny, nadzwyczaj okazały i bogaty, dopełniał złudzenia. Najpiękniej wyglądała jedna z pań, przedstawiająca panią Kochanowską; miała kontusik purpurowego koloru i wielki czepiec koronkowy na głowie, stała z ręką wyciągniętą, wskazując kanclerzowi zadumanego małżonka. Urszulkę przedstawiał bardzo pięknie mały synek gospodyni domu, za dziewczynkę przebrany.

Ażebyś zrozumiała całą piękność następnych obrazów, muszę ci powiedzieć słów parę o wzorach, które posłużyły do ich ułożenia, bo to były wierne naśladowania sławnych malowideł. Ile razy zwiedzam wystawę Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie, zawsze po obejrzeniu nowych obrazów, zatrzymuję się choć na chwilę przed jednym, niewielkim obrazkiem, który tam już od bardzo dawna na jednem miejscu wisi. Jestto powrót z jasyru Köflera.

Czytając teraz właśnie powieść „Braniec tatarski“, drukowaną w Pisemku naszym, najlepszą masz sposobność, siostrzyczko, przypomnienia sobie i uprzytomnienia w wyobraźni tych strasznych czasów, gdy napady Tatarów siały grozę i zni-

szczenie w kraju naszym. Wśród wielkich nie-
szczęść, zdarzały się w tych czasach niekiedy
i chwile wielkich radości, gdy naprzykład taki
braniec tatarski, po przebyciu ciężkiej niewoli
u pohańców, powracał do rodziny i domowej
strzechy. Taką chwilę przedstawia właśnie obrazek
Łöfflera. Braniec tatarski w obdartej, nędznej
odzieży, powrócił do domu, do swoich, matka sta-
ruszka, żona, dziatwa, wierni słudzy, otoczyli go
dokoła, nacieszyć się nim nie mogą. A z boku
spogląda na to kapłan trynitarz, który zapewne
przyczynił się do tego powrotu. Śliczny to jest
obrazek, tyle w nim rzewnego uczucia, że oczu
oderwać nie można od tego widoku. Otóż wy-
obraź sobie, że w żywym obrazie tak wybornie na-
śladowane były te wszystkie postaci, jak gdyby za
pomocą czarodziejskiej jakiej sztuki zstąpiły nagle
z obrazu; bo umiano dobrać osoby, których cała
fizjonomia nawet była wiernym prawie wizerun-
kiem owego trynitarza, brańca i innych postaci
z malowidła.

Jeżeli nie miałaś sposobności widzieć arcydzieł
naszego mistrza Matejki, to musisz je znać prze-
cież choćby z albumu, który je przedstawia w wy-
bornych drzeworytach, albo przynajmniej z opi-
sów, w naszym Pisemku zamieszczanych. Więc
przypominasz sobie zapewne, że jeden z dawniej-
szych obrazów Matejki wyobraża Wita Stwosza
ociemniałym starcem i wnuczkę jego, która sędzi-
wego ojca prowadzi. Gdybyś nie znała dokładnie
podania o Wicie Stwoszu, to sobie dostań konie-
cznie poemat pod tym tytułem Wincentego Pola
i przeczytaj.

Trzeci żywy obraz był tak wiernym naśladowa-
niem arcydzieła Matejki, że naprawdę aż mnie
dreszcz jakiś przeszedł, gdy na to patrzałam. Oso-
ba, przedstawiająca wnuczkę Stwosza, w uderzają-
cy sposób podobna była do malowidła. Nie wiem,
naprawdę, czy to strój sprawiał to złudzenie, czy
uczesanie włosów, czy też umiejętnie przybrany
wyraz twarzy, ale podobieństwo było zadziwia-
jące.

Czwarty obraz żywy był naśladowaniem z ma-
łemi zmianami malowidła Simmlera „Młodość
Zygmunta Augusta”. Historya powiada, że chy-
tra Włoszka Bona usiłowała naumyślnie młodzie-
ckiego królewicza uczynić zniewieściałym, pozba-
wić go męskiego hartu i dzielności. Zamiast
więc chować się wśród mężów rycerskich, on by-
wał zwykle otoczony fraucymerem swjej matki, za-
bawiał się śpiewem, grą na lutni i spędzał czas
w beczynności. Widzieliśmy więc w owym obra-
zie żywym ten świetny dwór królowej Bony, wśród
którego odznaczała się przepysznym strojem lu-

tnistka, przedstawiona przez samą gospodynią
domu.

W kilka dni później w tymże samym salonie
hrabiny R. urządzono znów niemięj piękne wido-
wisko. Były to szarady. Najpierw ukazało się
dwóch młodzieńców w strojach średniowiecznych
z dobytymi mieczami. Piękna kasztelanka w prze-
pysznym staroświeckim stroju rzucała się pomię-
dzy walczących, którzy godzili sobie wzajemnie
prosto w pierś ostrzem żelaza. To też wszyscy
odgadli odrazu wyraz ukryty: *pierś*.

Potem ujrano chatę wieśniaczą, a w niej gro-
madkę kobiet przastraszonych niezwykłym wido-
kiem. W kącie stała cicha, spokojna, krwawa
postać, widocznie *cich* zabitego męża jednej z tych
kobiet. Tu także odgadnąć było łatwo zamyślony
wyraz, szarada miała oznaczać *pierś-cień*.

I w rzeczy samej trzeci obraz, przesliczny,
przedstawił legendę o pierścieniu Ś-jej Kunegundy,
znalezionym w żupach solnych w Wieliczce. Strój
z XIII wieku królowej i otaczających ją niewiast
był surowy, poważny, prawie zakonny; twarze owi-
nięte w białe opaski, z czepców lub czapek spły-
wały długie zasłony, suknie zamknięte pod szyję,
ciężkie, ze sztywnemi stanikami, ozdoby nawet,
łańcuchy, klejnoty, miały charakter wielkiej po-
wagi.

W drugiej szaradzie, w pierwszym obrazie wy-
stąpił dzielny Jan III, kłęczący przed królową
Marysienką po powrocie z wiedeńskiej wyprawy
i wskazujący jej Turków wziętych w niewolę. Tu
już w strojach królowej i jej otoczenia panował
przepych francuzki, a i rycerski ubiór króla był
wspaniały i bogaty.

W drugim obrazie odgadnąć było łatwo *czary*,
ukazały się bowiem czarownice uzbrojone w miot-
ły i łopaty, pochylone nad jakąś piekielną robotą.
Za chwilę jednak przemieniły się w piękne i strojne
kobiety, a sama gospodyni, hrabina R., z laską
czarodziejską w ręku, cała lśniła od niezmiernego
mnóstwa kosztownych klejnotów. Znaczenie sza-
rady było Janczary.

Ale najpiękniejsze ze wszystkiego było zakoń-
czenie widowiska, apoteoza Mickiewicza. Usta-
wiono na wzniesieniu posąg naszego wieszczca,
a dokoła ugrupowano w żywym obrazie głównych
bohaterów i bohaterki jego poematów. Więc była
tam urocza Zosia w błękitnym atłasowym kontu-
siku, obszytym puszkiem łabędzim, z takąż cza-
peczką na głowie i przesadnie strojna Telimena
i inne osoby z poematu „Pan Tadeusz”. Była także
i Grażyna, i Walenrod w zbroi krzyżackiej, i Al-
dona, i wiele innych poetycznych postaci, a wszy-
stkie odtworzone doskonale i zupełnie oddawały
myśl wieszczca.

Spodziewam się, siostrzyczko kochana, że nie zdziwiłem ciebie szczegółowym opisem tej wspaniałej zabawy, która miała przedewszystkiém tę zaletę, że wybrano do niej przedmioty swojskie i przez każdego ukochane. A teraz bywaj mi zdrowa.

Twój przywiązany brat

Kazio.

RODZINA ARTYSTY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA,

przez M. . a.

(Dalszy ciąg).

— Ja nic nie każę — odpowiedział ojciec — kto przyłoży rękę do pługa, niech jęj nie cofa. Półtora roku życia waszego pracujecie na dzieło wasze, nie chcę, byście kiedyś powiedzieli mi, że je wam zmarnowałem. Ja tylko upominam was, jak ów starzec, abyście się nie dawali ogarniać żądzy zysków bez miary. Dopóty raj, dopóki żądza doń nie wejdzie. Oto wesołe nasze posiedzenia posmutniały, współubieganie się o zwiększenie zarobku burzy wam dusze, Kazio traci ochotę do nauki, która mu natychmiastowych zysków nie daje, zazdrość wkrada się między was i nieposłuszeństwo. Wiedzieliście dobrze, że każdym groszem, przysporzonym do raz dozwolonych wam zysków, czynicie mi przykrość, a jednak czyniliście ją, wy, dla których przedtém myśli moje były zawsze prawem! Ach, lzy nie pomogą, dajcie pokój łzom, a uczynicie, czego żądam!

— Cóż mamy czynić? — zawołano z płaczem. A ojciec mówił:

— Nie żądam, abyście się cofnęli, ale powstrzymajcie się w żądzy zysku, ani krokiem dalej! ani groszem więcej! oto moja wola. Pracujecie spokojnie i sumiennie w zawodach waszych, a wszystkie wzmagające się z latami siły obracajcie na naukę; ona jest obowiązkiem człowieka względem siebie, a tylko obowiązek daje równowagę, która utrzymuje nas przy rozsądnej pracy i koniecznej staranności o byt nasz, a chroni od szału chciwości, od tej gorączki robienia majątku, która w obecnym czasie ogół ludzi opanowywa. Bo nie zaślaniajcie wy się skromnym celem waszym dzisiejszym, owym domkiem wspólnym w zieleni. Nie jeden rozpoczynał tak skromnie, jak i wy, ale chciwość wzrasta w miarę posiadania i zaprowadzić może daleko.

— Jak owego pccziwego syna, który fotel dla matki kupić zapragnął.. — powiedziała matka.

Dzieci były tak zasmucone oczywistą winą własną i przejęte ważnością słów ojca, że nawet ciekawości nie miały spytać matki o syna owego, coby uczyniły z pewnością przy weselszém usposobieniu, zwyczajnie, jak dzieci. Ale ojciec widział, że został już dostatecznie zrozumianym, a nie lubiąc w rodzinie swęj smutku, który do niczego dobrego dzieci nie usposabia, podchwycił prędko, aby rozmowę odwrócić:

— Co to za syn? ja nie wiem. — i matka opowiadać zaczęła.

— Była to jedna uboga wdowa z dwoma synkami, których wychowywała z pracy rąk. Staś był chłopak zwyczajny, ale Jaś był niepospolicie pocziwym synkiem. Staś bąki zbijał, a Jaś niezmiernie wcześniej przemyśliwać zaczął, jakby zarobić choćby tyle pieniędzy, żeby matce wygodny fotel sprawić. Gdy przyszedł czas, w którym obydwaj zaczęli cośkolwiek zarabiać, Staś groszaki swoje marnował, a Jaś zbierał, aż po latach uzbierał. Ale mając już fotel kupić, pomyślał, że matce, wiecznie schylonęj nad praniem, nie bardzo jest potrzebny fotel, i że ona sama możeby wolała sobie co konieczniejszego za te pieniądze kupić i oddać uzbieraną sumkę matce. Kobieta mało nie odeszła od przytomności ze szczęścia, że ma tak pocziwego syna i wszędzie przed ludźmi o tém opowiadała, błogosławiąc dziecko swoje. Aż dowiedział się o tém jakiś zwierzchnik w fabryce, w której chłopcy pracowali, głośno chłopca przy wszystkich pochwalił i dał mu u siebie stałe zatrudnienie z niezłą płacą, aby pocziwy syn mógł łatwiej na starzejącą się matkę pracować. Płacy tej było złotych czterdzieści. Jaś, nie posiadając się ze szczęścia, oddał matce natychmiast trzydzieści, pozostawiając sobie dziesięć na wszystkie swe potrzeby, postanowił robić tak zawsze, i robił. Lata szły, aż po latach, jako dobremu robotnikowi, powiększono mu płacę drugie tyle. Jaś się zamyslił. Wiedział, że przyzwyczajonęj do ubóstwa i pracy matce trzydzieści złotych miesięcznie wystarczało doskonale, tak, że nawet jako rządna kobieta umiała z nich jemu samemu jaki podarunek mały zrobić, była szczęśliwa, jak sama codzień mu powtarzała, a więc nie potrzebowała nic więcej. Postanowił tedy płacić jęj trzydzieści złotych, jak dawniej, a zdwojoną płacę na siebie zużywać. I znowu przeszedł czas jakiś, i znowu zdwojono mu płacę. Wtedy Jaś rzekł:

— Moja matko, płacę mi zdwojono, ale potrzeby moje dorosłego człowieka potroiły się, nie mogę ci przeto dawać więcej, niż dawałem.

— Mój pocziwy synu, a któzby żądał więcej? Jeżeli potrzeby twoje tego wymagają, to płacć mnie! — zawołała matka.

— Kiedy chce sama, żebym jęj płacił mniej, to widać nie wie, co z pieniędzmi robić — pomyślał Jaś, i odtąd płacił matce dwadzieścia złotych, uważając, że i to jest aż nadto dla staręj kobiety, która żadnych potrzeb niema i z przyzwyczajenia dla przyjemności pracować musi. A sam zbierał pieniądze, bo już od dziecka zbierać się przyzwyczaił. I znowu czas szedł, aż nadeszły urodziny pana Jana i pensyą mu jeszcze raz znakomicie zwiększono, a matka, pamiętając o jego wielkich potrzebach, przyniosła mu sliczny jedwabny krawat na szyję, jak dla takiego pana wypadło, na który to krawat oszczędzała i pracowała przez cały rok. „To to tak? to matka ma widać ukryte kapitały — pomyślał pan Jan i rzekł do matki:

— Moja kochana matko, trzeba mi niezadługo pomyśleć o żeniaczce, potrzeby moje zwiększają się okrutnie; czy matka koniecznie tych dwudziestu złotych potrzebuje?

— Nie! moje dziecko pocziwie! wcale ich nie potrzebuję! — krzyknęła matka, drżąc na myśl o strasznych syna potrzebach.

— Oczywiście ma kapitały! i mimo to chciwa kobieta brała dotąd pieniądze odemnie, który mam tak wielkie potrzeby, — pomyślał pan Jan i przestał matce dawać pieniądze.

Staruszka, nie mogąc już pracować, zaczęła mrzeć głodem w milczeniu. Wtedy Stach, prosty robotnik, trochę urwis, który dotąd miał wszystkiego czterdzieści złotych miesięcznego zarobku i na zawsze przy tém pozostał, podzielił się z matką swoją pensyą, i płacąc jęj dwadzieścia złotych, dopóki żyła, nie dał jęj umrzeć z głodu.

— O czém nikt nie wiedział, bo wszyscy myśleli, że to bogaty pan Jan matce jeść daje, — dokończył ojciec, — a nawet sama matka za nic miała dwadzieścia złotych Stacha, bo jęj ćwiekiem w głowie siedziało, że pan Jan przez całe lata po trzydzieści jęj dawał. Tak zwykle oceniany bywa prosty obowiązek; co wcale nie przeszkadza zresztą przyznać, że Stach był niezłym urwisem: tak, czy nie?

— Tak! — zawołano w Izbie Radnej jednogłośnie.

— No, to zagraj, Paganini mój, a ty, Anka, chodź do oberka! — krzyknął ojciec; i bal rozpoczęła się znowu.

Drugie półtora roku upłynęło od owego wieczora. Znowu gorący dzień lipcowy miał się ku szychłowi. W małym mieszkaniu na pięterku w oficynie panował pospolity ów nieład, znamionujący blizki wyjazd. Parę tłomoczków i kuferków stało i leżało w Izbie Radnej, matka i ojciec krzątali się teraz, pakując w pakę przedmioty najważniejsze ze wszystkich: farby, palety, flaszeczki,

plótna, papiery, ramy, książki, pędzle w pudełkach i pudełeczkach. Jeden! tylko Kazio biegał pomiędzy nimi, posługując tu i tam i wybiegając za sprawunkami. Wieczorem dopięro, gdy już wszystko popakowano, troje innych dzieci przyszło po jednemu o zwykłych godzinach. Rodzina obsiadła stół i piła herbatę, razem ostatni raz na przeciąg kilku miesięcy. Ojciec wyjeżdżał nakonieć malować pokoje w owym pałacu na wsi, która to robota zamówioną była u niego od lat trzech, zanim pałac budować zaczęto. Miał jechać przeszłego roku, ale opóźniono się z wykończeniem budowli. Jechał więc dzisiaj dopięro. Przez te ubiegłe półtora roku czworo małych ludzi podrosło i zmęźniało fizycznie i moralnie, ponieważ pracowało sumiennie w zawodach swoich, ale tak właśnie, jak ojciec żądał, to jest wytrwale a bez pośpiechu. Przesławny kapitał na domek w zieleni wzrastał więc bardzo powoli. Kazio-Leleweł dostał promocyą z nagrodą do czwartęj klasy a wraz z nim troje rodzeństwa miało wszelkie prawo ją dostać, jeźliby o to chodziło. Byli przytém weseli, a nawet swawolni trochę, używając każdęj chwili życia pracowicie, lecz swobodnie. Takie właśnie życie było ideałem ojca tęg rodziny, prostego człowieka, który mówiąc o tęg z matką troszkę inaczej niż z dziećmi, powiadał, że trzeba koniecznie pracować na *jutro*, gdyż inaczej być nie może, ale grzechem i nierozsądkiem byłoby ofiarę robić z dnia dzisiejszego dla tego *jutra*, które może nie nadejść.

Przez te półtora roku nieraz chętką gorętsza przyspieszenia posiadania majątku nurtowała skrycie cztery serca, ale nie wybuchnęła już czynem ani razu. Teraz troje starszych zajętych było jak zawsze; jeden Kazio tylko miał wakacye.

Wyjazd ojca przedstawiał pewne trudności, bo człowiek ten, żyjący od ósmnastu lat w kółku rodzinném i zrosnięty z niém, jakby wspólne jedno ożywiało ich serce, nie mógł oderwać się sam jeden na dłuższy czas od niego. Wszyscy jechać nie mogli, raz dla kosztów, drugi raz dla nieprzerwywania zatrudnień. Ostatecznie jechali z ojcem matka i Kazio. Oboje mieli wrócić z początkiem szkolnego roku, a ojciec miał niezadługo podążyć za nimi. Mieszkanie na czas wakacyi odnajęto w połowie. To jest odnajęto pusty widny pokój ojca sąsiadom, do których mieszkania były w tym pokoju drzwi. Odnajęto także i ciemną kuchenkę tym samym sąsiadom na skład rzeczy, gdyż krewni przyjechali do tych państwa na letnie miesiące, leczyc się u doktorów warszawskich. Izba Radna pozostała jak była, i troje starszych dzieci powracać miało dojnięj na noc, jak za bytności rodziców.

Tylko z kapitałem stał się kłopot, bo jakże go tu przez cały dzień zostawić w samotnym pokoju, od którego Aneczka miała klucz posiadać, jako wracająca na noc pierwsza, i wychodząca z rana ostatnia. Długie były narady w Izbie Radnej w tym przedmiocie, zanim zgodzono się ulokować kapitał u kupca, pryncypała Olesiowego. Nie było to przyjemnie kapitalistom, którzy przywykli co dzień na własność tę swoją patrzyć, ale było bezpiecznie. Zaczem ostrożni kapitaliści na wniosek ten ojca się zgodzili, zasięgnąwszy wprzód pewnych wiadomości, że kupcowi bankructwo nie grozi. Zabrawszy więc kapitał, ojciec sam zaniósł go do kupca, prosząc przytém, aby w nieobecności jego zwracał oko na Olesia. Kupiec lubił Olesia, i samego malarza od dawna znał i szanował. Teraz, dowiedziawszy się całej historii kapitału, polubił tę rodzinę bardziej jeszcze, bo sam wyszedłszy na bogacza z bardzo małych początków, cenił niezmiernie zabiegliwość i oszczędność, a wszystko złe zwał zawsze na brak tych przymiotów w naszym charakterze. Wziął więc chętnie kapitał, ofiarując płacić od niego dzieciom mały procent na zachętę, choć go o to nie proszono, i ścisłając rękę malarza zapewnił go, że nietylko na Olesia ale i na resztę pozostających dzieci będzie uważał zdaleka, a w razie choroby lub czegoś ważniejszego, zaraz ojca zawiadomi.

Na tém stanęły rzeczy. Rodzice pojechali, troje starszych dzieci pozostało w mieście.

Przez wakacje szło wszystko, jak było ułożone. Wieczorne posiedzenia w Izbie Radnej nie uległy żadnym zmianom. Rajcy zasiadali swoje krzesła, a krzesła trojga nieobecnych stały puste na swoich miejscach przy stole, żyło się: tymczasowo.

A gdy już, już to życie tymczasowe zakończyć się miało przybyciem matki z Kazim, którzy ojca nie o wiele tylko poprzedzać mieli, nagle przyjechał Kazio sam jeden, zabrany przez kogoś z owych stron do Warszawy jadącego. Kazio przywoził listy, wiadomości, i zmiany, smutne trochę, bo rodzice nie wracali.

Robota w pałacu okazała się większą i korzystniejszą, niż malarz sądził z początku. Przyszło zabrać się do pracy nie żartem i wziąć jeszcze do pomocy miejscowych kilku ludzi, z fachem malarzkim obeznanych. Gdy tak malarz zajął się robotą serdecznie, pokazało się wtędy, że nie był on ladajakim malarzem, a że w owęj okolicy właśnie budowano gmachy kolejowe, więc zarząd kolejowy, znalazłszy przypadkiem dobrego a niedrogiego malarza pod ręką, powierzył mu wszystką malarską robotę w swoich budowlach. Taki traf, taki obstalunek, to nie żarty, to majątek dla ubogiego

malarza. Więc trudno się dziwić, że się malarz tój roboty chwycił. Został tedy w owych stronach na czas dłuższy, i żona oczywiście z nim została, bo to było na wsi, gdzie gospodyni koniecznie jest potrzebna, aby jeść uwarzyła, i bieliznę uprała.

Kazio wracał sam do szkoły, przywożąc uściłki i przysmaki wiejskie, a w listach i ustnie, instrukcyje. Te instrukcyje były także same, jakie ojciec dawał już dzieciom przy swym odejździe, treściwe i krótkie: wszystko miało pozostać tak, jak było w obecności rodziców. Kazio miał sam jeden zamieszkiwać Izbę Radną pod opieką sąsiadów, wynajmujących resztę mieszkania i u nich też miał jadać w dni powszednie. Nic więcéj. Nie zalecał im ojciec, aby się wzajem kochali, bo ani jemu ani im nie przyszło do głowy, aby mogło być inaczej. Nie zalecał im także, aby się dobrze uczyli, ani żeby się nie poddawali zbytecznej chciwości na zbieranie grosza, bo od półtora roku był z nich zupełnie zadowolony, i wystrzegał się nawet wraz z matką wspominać o tój minionęj dzieci chorobie, aby jej na myśl im nie przywozdić.

A żeby się kto z naszych czytelników nie dziwił temu ojcu, że on takie młode dzieci same w dużym mieście na długi czas zostawiał, musimy powiedzieć, iż jak ojciec prosił poczciwego kupca o spoglądanie zdaleka na prowadzenie się i na zdrowie Olesia, tak matka prosiła o toż samo kupców z norymberskiego sklepu względem Kasi, i matki uczennicy Andzi względem tój ostatniéj. A jeżeli by się jeszcze kto dziwił, że ojciec mógł poprzestawać na takiéj małej nad dziećmi opiece, bo przecież dzieci te odchodziły na noc do swojej Izby Radnej, to przypomnimy, że ojciec ten znał dzieci swoje na wylot, gdyż był z każdém z nich od niemowlęstwa, jak gdyby w serdecznej przyjaźni. Żadne z nich nie wstydzilo się, ani tém mniej nie lękało się mu zwierzać ze wszystkich kłopotów, myśli, i obaw swoich, odkąd które z nich mówić zaczęło.

Aneczka miała lat szesnaście; Kasia piętnaście prawie a Oleś blisko czternaście. Mimo to, ojciec, troszcząc się o ich byt i zdrowie, i przykazując pisać do siebie po kolei tak, aby miał list co drugi dzień, był przecież spokojny o rzecz najważniejszą, ważniejszą nawet od zaziębienia, o towarzystwo, w jakie dzieci bez jego opieki popaść mogą. To, co rozumiemy pod wyrazem „towarzystwo” jest bezwarunkowo rzeczą najważniejszą w całym życiu ludzkim. Ta rzecz jedna już może poprowadzić człowieka na dobrą lub złą drogę. To też malarz, z potrzeby i przekonania, ale w brew tutejszym zwyczajom, wychowywał dzieci swoje, jak gdyby po amerykańsku. Szesnastoletnia panielka tak wykształcona, jak Aneczka, w Amery-

ce jest nieraz samowolną panią swoją, a u nas chodzi jeszcze na pasku nieledwie, jak roczne dziecko, prowadzane przez nauczycielkę albo matkę, i słusznie, bo sama jeszcze chodzićby pod względem moralnym nie umiała. Otóż, ponieważ dzieci malarza guwernerów nie miały, a i matka nie mogła każdego oddzielnie pilnować, bo dla wszystkich musiała gotować, prać, i szyć, i pracować na nie, więc oboje rodzice zawczasu przyuczali dzieci swoje do samodzielności. To jest nauczyli je złe od dobrego odróżniać. Więc przedewszystkim nauczyli niezmiernie prostęj rzeczy, ale z nieświadomości której u dzieci większa połowa nieszczęść wynika, a rzeczą tą jest ta prawda, że wierzyć i ufać bezwarunkowo można tylko ojcu i matce, i tym, którym rodzice zaufać każą, a na resztę ludzi trzeba patrzeć grzecznie, ale zdaleka, dopóki się z nimi becunki soli nie zje, i nie przekona, że i im także ufać i przyjaźnić się z nimi można. A postępuje się tak dla tego, że ludzie na świecie są dwojacy: dobrze wychowani i źle wychowani; dobrze wychowani umieją po świecie chodzić tak, że w żadną kałużę nie wpadną, i nikogo w nią nie wprowadzą, a źle wychowani są jakby małe dzieci nieroztropne, które i same w błoto wążą, i kogoś w nie wepchnąć mogą i dopiero siedząc w tém błocie albo płaczą, albo co gorsza śmieją się głupowato, gdy ludzie odwracają się od nich. Towarzystwo źle wychowanych dzieci jest największym niebezpieczeństwem dla dziecka, tak samo, jak towarzystwo źle wychowanych ludzi jest niebezpiecznym dla dorosłych.

Otóż to niebezpieczeństwo od dawna dzieciom swoim wytłómaczywszy daleko lepiej, niż ja to tutaj czynię, malarz zabezpieczył je tém samym przeciw niemu. Wiedział, że dzieci te mogą rozmaicie błądzić, bo życie jest jakby duży bór, w którym łatwo zabłądzić, ale pewien był, że się z drogi wrócić zapragną, gdy tylko spostrzegą, że błądzą, i że się zawrócić potrafią, bo nie zaufają nikomu, ktoby je wiódł na manowce, jak się właśnie najczęściej z niedoświadczoną młodzieżą zdarza. Wychowawszy więc dzieci jak mógł najlepiej, pojechał malarz spokojnie na robotę, i został przy niej po wakacyach na dłużej.

Przez wakacje dzieci żyły, jakby tymczasowo, jakieśmy już mówili; więc nie czuły osamotnienia swego zbyt; dopiero pierwszego wieczora po powrocie Kazia, usiadłszy na swych miejscach koło wielkiego stołu w Izbie Radnej, poczuły naprawdę osamotnienie. Dwa puste krzesła stały naprzeciw siebie na dwóch końcach stołu. Przed matczynem wszystko przygotowane wedle zwyczaju, i w takim porządku, jakby matka na tém krześle zaraz miała usiąść, albo jakby tylko co z niego powstała. Aneczka wyręczała ją tylko z boku. Czworo dzieci siedziało naprzeciw siebie po obu dłuższych bokach stołu i posilało się powoli, smutno, jak nigdy. Prawie tak, jak gdy ojciec bywał dawniej, „niezadowolony”.

— Nie rozumiem ja, co to będzie teraz za życie, — rzekł Kazio po długiém, niezwykłym w Izbie Radnej milczeniu.

— Ha, przecież się kiedyś te tam malowania skończą, — rzekła Kasia.

— Ale kiedy?.. — mruknął Oleś.

— A więc, aby czas zabić, trzeba się uczyć, — powiedziała Aneczka; położyła na stole stos książek i zeszytów, i zaczęła z pomocą Kazia układać plan nauk dla swoich dwóch małych uczennic. Kazio, zobaczywszy tylko książki, już mimowoli rękę po nie sięgnął, jakby był Lelewelem prawdziwym; Oleś przez przyzwyczajenie trzyletnie spojrział zaraz w roztwartą książkę, biorąc w ręce ołówek i zeszyt, bo to Oleś zazwyczaj co wieczór od trzech lat miewał lekcye jutrzejsze tłómaczone sobie przez Kazia, i sam je następnie już siostróm tłómaczył; poczem uczyli się wspólnie wszystko troje, odwołując się tylko czasem w wątpliwych razach do Kazia, aby mu jaknajwięcej czasu oszczędzać. Moc przyzwyczajenia jest wielką. Aneczka wiedziała o tém, kładąc książki na stole, jak za dawnych czasów, a czyniła tak naumyślnie, jako najstarsza i najrozwazniejsza, aby i rodzeństwo i siebie wyrwać z ogarniającej ich tęsknoty, i dobry humor zachować według stariej ojca recepty.

Jakoż na ten raz udało jej się to; tém bardziej, że i młodsi rozumieli, iż się smutkowi poddawać nie trzeba. Krzepili się więc z początku szkolnego roku, jak mogli. Ale z czasem, gdy porządek nauki wszedł już we właściwe tryby, a nieobecność rodziców się przedłużała, i wieczory wraz z nią przedłużać się zaczęły, tęsknota ogarnęła dzieci naprawdę. Gdyby dawniej wieczory w Izbie Radnej, urozmaicane nauką, gawędą, czytaniem, opowiadaniem i tańcem, nie były tak miłe, z pewnością terazniejsze nie wydawałyby się tak okrutnie nudne. Nauka nie wystarczała; z westchnieniem siadało się do stołu, i z westchnieniem spać kładło. A że te dzieci nie były wcale żadnymi doskonałościami, tylko prostemi, dość starannie chowanymi dziećmi, więc też owa nuda, z tęsknoty wylęła, podziałała na nie tak źle, jak zwykle smutne uczucia na ludzi działają, o czém malarz tak dobrze wiedział.

(D. c. n.).

ZAGADKA (Rózia D.).

Samogłoskę w drugą włoż
I masz imię moje już.

ŁAMIGŁÓWKA KRYSZTAŁOWA.

(Zosi z Welezina).

1. Spółgłoska.
2. Rzecz przyjemna.
3. Olbrzym.
4. Błąd, rozpowszechniony pomiędzy ludem.
5.
6. Imię cesarza rzymskiego.
7. Roślina.
8. Zabawa towarzyska.

Spółgłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą nazwę książki, która co rok wychodzi.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 13-go.

ZADANIA KONIKOWEGO:

Bohu! Bohu! sławna rzeko!
Żal mi, żal mi cię!
Twoje wody z jękiem cieką,
A nikt nie wie — gdzie?
Héj! Kozacz! twoje oczy
Zamroczone łąą?
Coś ci serce ciężko tłoczy,
A nikt nie wie — co?
Boh do morza het popłynie,
I nie wróci....

„Dumka” B. Zaleskiego.

Łamigłówek zgłoskowej:

Psametych.
Ormianie.
Tybet.
Olbrzym.
Cytryna.
Koran.
Indyk.
Rano.
Eleazar.
Wino.
Egipcyanin.
Ruben.
Armaty.

Potocki Rewera — Hetman koronny.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Rózia D. w Berdyczowie. Z jaką radością powitaliśmy znane pismo, które nam zawsze przynosi, i słowa serdeczne, i śliczne a dowcipne szarady, to nawet wypowiedzieć trudno. Jeszcze i z dawnych szarad i łamigłówek p zostało parę, ale żadna się nie zarzuciła i wszystkie będą z czasem drukowane, równie jak i wierszyki. Szczególnie u'atna jest szarada, zaczynająca się od słów: *O pierwszej drugiej wcześniej myśleć trzeba*. Za wszystkie jednak serdecznie dziękujemy.

Edwardowi M. w Warszawie. Łamigłówka trafnie odgadnięta; była jednak dość łatwa, radzimy więc poprobować domyślności z trudniejszymi. Dotąd naprzykład nikt jeszcze nie nadesłał rozwiązania rebusu graficznego z N-ru 14-go, a jednak także do trudnych nie może być zaliczony, ani zadania konikowego z N-ru 13-go.

Marylce w Warszawie. Łamigłówka dobrze jest ułożona i wydrukujemy ją chętnie; rozwiązanie naszej łamigłówki trafne. Podróż bardzo zajmującą mamy już w pogotowiu, i jedynie dla braku miejsca jej nie drukujemy. Powieści z angielskiego są także przygotowane i także czekają kolei. Kochani nasi czytelnicy nie mogą już chyba żądać od nas więcej niż to, co dajemy. Każdy N-r ma 16 str. bitego druku, a treść staramy się o ile możności urozmaicać. Niepodobna też w każdym N-rze Pisma wszystkich działów pomieścić. Podróż jednak rozpoczniemy niezadługo.

Władysławowi O. Łamigłówki są dobre, prosimy o cierpliwość, bo mnóstwo już mamy wcześniej nadesłanych; Z czasem jednak wszystkie będą drukowane. Rozwiązanie naszej łamigłówki jest trafne.

Morysiowi K. Rozwiązanie łamigłówki zupełnie dobre; za przyrzeczenie stałego współpracownictwa w dziale łamigłówek dziękujemy serdecznie, obie nadesłane będą drukowane. Cieszy nas bardzo wiadomość, że Pisemko nasze kochanemu czytelnikowi zawsze się podoba.

Waluni P. w Rześniówce. Liścik, starannie i ładną kaligrafią napisany, wielką nam sprawił przyjemność. Mamy nadzieję, że powieści rozpoczęte obecnie w Pisemku zajmą kochanych czytelników zarówno jak dawniejsze. W nadesłanej łamigłównie jest jedna drobna omyłka, którą postaramy się sprostować. W pierwszym wyrazie końcowa litera powinna być s. a nie ś.

Teresa S. Otrzymałiśmy zadanie konikowe i łamigłówną zgłoskową z tym podpisem, a ponieważ są bardzo dobrze ułożone, więc chętnie je zamieścimy w naszym Pisemku.

Pani M. S. w Kuźmińcyku. Za list, w którym jest tyle dla nas życzliwości, przesyłamy szczerą Bóg zapłać. Życzenie Pani będziemy się starali spełnić.

Pani Zofii B. Prosimy o dokładny adres dla bliższego porozumienia.

Janinę i Tadzia prosimy o cierpliwość, a komedyjki postaramy się obmyśleć i wydrukować niezadługo.

Anulce I. w Niszowcach. I my także spóźniliśmy się bardzo tym razem, ale to z tego powodu, że właśnie najpóźniej zaczęły nadchodzić najlepsze rozwiązania naszej zagadki historycznej. Znowu więc w prawdziwym jesteśmy kłopotcie, bo jak tu wybrać najlepsze, gdzie tyle jest bardzo dobrych! Ale w następnym N-rze musi się sprawa rozstrzygnąć ostatecznie.

WIECZORY RODZINNE

DLA MAŁYCH DZIECI.

GÓRAL PERUWIAŃSKI.

Niedawno mieliście na obrazku góralkę peruwiańską, dziś podajemy wam górala. Cały strój jego, spodnie, kamicelka i kołdra, którą się owija, jakby płaszczem, zrobiony jest z sukna, obuwie ma bardzo proste, bo tylko podeszwy skórzane, przywiązane do nogi rzemykami. Na głowie nosi kapelusz filcowy, a pod spodem rodzaj czepka wełnianego.

BAJECZKA.

Był u jednej Mamy synek,
A nazywał się Marcinek.
Po całych dniach, krzyczał, latał,
I każdemu figle płał.
I zawsze zbroił coś złego,
Bo był wielkie nic dobrego.
Raz, zobaczywszy Franka ogrodnika,
Jak bramę od ogrodu na kłódkę zamyka,
Że to było ciemno prawie,
Więc po miękkiej murawie
Skrada się cichutko,
Staje bliźniutko,
I zawsze do psoty ochoczy,
Rzuca mu garść piasku w oczy.
A wiedząc, co go czeka,
Czémprędzej ucieka.

Franek sądzić, że to ktoś, co mu jabłka
[kradnie,
Puszcza się w pogoń za nim i gdy go do-
[padnie,
Gdy schwyci za włosy!
Biedny Marcinek krzyczy w niebogłoty.
Dopiero gdy go po płaczu poznaje,
Franek swój dalszej zemsty zaprzestaje.
Mama właśnie wtenczas na ganku siedziała,
I wszystko dobrze widziała.
Woła do siebie na sprawę psotnika
I ogrodnika.
Franek miał dobre serce; choć ból w oczach
[czuje



Prosił jednak pani, niech winę daruje;
Ale Mama nietylko, że synka łajała
Lecz jeszcze nauczkę dała:
Nie krzywdź nigdy nikogo, nawet ze swa-
[woli;
Bo krzywdą, choć najmniejsza, zawsze jednak
[boli,
I zawsze pamiętaj sobie:
Jak ty komu, tak on tobie. P.

ANDZIA.

Nie wiedzieć zkąd przywidziało się Andzi, że jest bardzo ładna. I tak jęj to w główkę wlało, że powiadała każdemu w domu. Wszyscy zaczęli się z nięj śmiać. Andzię zawstydzilo to, że się z nięj śmieją, zaczęła więc płakać, tupać nóżkami, machać rękami, krzycząc głośno ze wszystkich sił:

— Proszę się nie śmiać! bo niema z czego, bo ja naprawdę jestem ładna!

Patrząc na takie dziwaczne dąsy małej dziewczynki i słysząc jęj niemądre krzyki, wszyscy zanosili się od śmiechu coraz bardziej, a dziewczynka coraz się też bardziej dąsała. Wtém bona podeszła do nięj z niemacka z tyłu, i prędko podniósłszy ją do zwierciadła, rzekła:

— To przypatrzże się sobie, jaka jesteś ładna!

Andzia rozkrzyczana, zamazana łzami i wykrzywiona płaczem, spojrziała w lustro i od razu zamilkła. A to dla tego, że zobaczyła się taką brzydką, iż się aż sama siebie przelekła.

Bona postawiła ją napowrót na ziemi a dziewczynka, zakrywszy twarz rękami ze wstydu za swój nierozum, poszła do umywalni, umyła się, a potém usiadła w kąciku i zaczęła sobie czytać powiastkę. A w tęp powiastce napisano było, że ten jest ładny, kto jest dobry i greczny, bo mu dobroć i greczność z oczu patrzy i ludziom się podobą.

ZGODA.

Wujaszek Olesia i Maryni bardzo ładnie grał i śpiewał, a dzieci niezmiernie lubiły słuchać tęp muzyki. Zwykle wieczorem Wujaszek zasiadał do fortepianu, a dzieci cichuteńko stały za jego krzesetkiem i nigdy żadne mu nie przerwało, nie stuknęło, nie szeptały nawet pomiędzy sobą, ażeby nie przeszkadzać Wujaszкови.

Pewnego wieczora, gdy właśnie zaczęło się takie prześliczne śpiewanie, z drugiego pokoju odezwał się brzęk i trzask taki głośny, że aż dzieci się wstrzęsły całe, a Wujaszek nagle grać przestał. Poszli wszyscy do drugiego pokoju i obaczyli, że to kot zakradł się na półkę kredensową i zrzucił na ziemię wielki dzbanek z mlekiem. Mleko się rozlało na po-

długę, a dzbanek potłukł się na drobne czerepy.

— Ach — mówiła Marynia, przyciskając obie rączki do bijącego serduszka — taki ten hałas był okropny i tak się brzydko wydawał przy tęp śliczném graniu i śpiewaniu, że aż mi się straszno zrobiło, choć tu nie było przecież czego się obawiać.

— To prawda — odezwał się braciszek jęj Oleś — gdyby to się było zdarzyło w innej chwili, nie przy tęp graniu, tobyśmy byli wcale się nie zlekli; a tak i ja się cały zatrząsem, ale nie ze strachu, naprawdę, tylko jakoś mi tak było nieprzyjemnie słuchać takiego okropnego brzęku przy ładnej muzyce.

— A wiesz dla czego? — rzekł Wujaszek — bo ta muzyka, to były dźwięki zgodne, a brzęk stłuczonego dzbanka domieszał do nich inny dźwięk niezgodny, fałszywy i dla tego taki nieprzyjemny. Zgoda, jedność, zawsze sprawia wrażenie miłe, a gdy niezgoda i niepokój ją zakłóci, przykreść to sprawia każdemu. Czyż nie doznajecie tego i sami? Gdy wszyscy się z sobą zgadzacie, ustępujecie sobie wzajemnie, miło wam wtenczas, nieprawdaż? ale gdy powstanie kłótnia, zaraz i przykreść się zaczyna. Każdy jest niezadowolony i z siebie, i z drugich. Powiedźcie, czy nie mam słuszności?

— A to czysta prawda — mówiła Marynia, a Oleś potwierdził skinieniem głowy.

— Nie zapominajcież o tęp nauczce, dzieci — powiedział Wujcio i powrócił do fortepianu i znów po chwili rozległy się dźwięki zgodne i miłe.

Nieposłuszna małpka.

Jedna pani miała pieszczoną małpkę. Lubiała ją bardzo, głaskała, dawała jęj różne łakocie do jedzenia i śmiała się nieraz serdecznie z jęj swawoli. Lubiała ją tak bardzo, że się nawet nie gniewała na nią, gdy co zrobiła. A to się trafiało często, bo małpka była psotna i nawet złośliwa. Jak tylko pani zdjęła z siebie strój jaki, kapelusz, szal, broszkę, bransolety lub rękawiczki, już małpka ubierała się w te rzeczy i chodziła po pokoju, udając ruchy pani.

Pani zakazywała jęj tego, i odbierała swoje

stroje, które małpka niszczyła, ale ta zawsze robiła swoje, nic a nic nie słuchając pani. A to dla tego, że pieśzcoty uzuchwałyły małpkę, więc stawiała się ona coraz gorszą, złośliwszą i bardziej nieposłuszną.

Aż raz dopatrzawszy jakiś kubeczek pełen jakiegoś płynu na oknie, chciała się tego napić, pani nie pozwoliła, zatem złośliwa małpka uparła się, i póty zachodziła koło tego kubka, aż się napiła. A to była trucizna na muchy! w pół godziny nieposłuszna małpka uczuła wielkie boleści, a w godzinę już nie żyła!

Podróż Adasia i Zosi do gorących krajów.

(*Dalszy ciąg.*)

— Indyjanie nigdy nie zabijają zwierząt — powiedział Ojciec — to też wszystkie stworzenia żyjące rozumieją to dobrze, że im tu od ludzi nie grozi żadne niebezpieczeństwo i dla tego wcale się ich nie boją. Nawet po ulicach miejskich można widzieć mnóstwo ptactwa, które się tam przechadza, jakby o-swojone.

— Ale, mój Ojczulku — mówił Adaś — dla czego ci Indyjanie nie zabijają zwierząt? czy oni tacy są litościwi?

— Bo oni sobie wyobrażają, że jak człowiek umiera, to jego dusza przechodzi w jakieś zwierzę i myślą sobie, że w koniku, w krówce, w ptaku, a nawet w wężu lub małym owadku, może mieszkać po śmierci dusza ich ojca, matki, dziadka, lub przyjaciela.

— Jacyż oni są śmieszni! — mówiła Zosia — ja jestem mała, a nigdybym nie uwierzyła w takie niedorzeczności.

— Nic dziwnego — odrzekł Ojciec — ty masz dobrą i rozsądną Mamę, od dzieciństwa słyszysz od niej opowiadania o Bogu prawdziwym, o nagrodach lub karach, jakie dusze ludzkie po śmierci odbierają od Niego. Dzieci indyjskie samych błędów się dowiadują od swoich rodziców, bo oni nie znają prawdziwej religii.

Prześlicznyż to był ten gaj, w którym dzieci przechadzały się z rodzicami. Najwięcej w nim było drzew bananowych; Adaś, bardzo uważny i roztropny chłopczyk, zaraz spostrzegł, że w drzewach tych pień dziwnie

jakoś wygląda, nie jest pokryty korą, jak to zwykle bywa. Ojciec mu wytłómaczył, że banany nie mają wcale pnia, bo to nie są drzewa, ale zioła olbrzymiej wielkości. Prosto z korzenia wyrastają ogromne liście, grube, mięsiste, a grube ich ogonki rozszerzone są u dołu w taki sposób, że się owijają jedne na drugich, zupełnie jakby jakieś pochwy, lub pokrowce. Wszystko razem wygląda jak duże drzewo, a jednak banan niema ani pnia, ani nawet żadnej łodygi.

Dzieci przypatrzyły się z bliska tym dziwnym drzewom, co nie są wcale drzewami, a pośród ogromnych liści spostrzegły grona owocowe, także ogromne. Ojciec urwał parę owoców, podobne były bardzo do ogórków, ale daleko słodsze i smaczniejsze. Adaś i Zosia z wielkim smakiem zjedli wyborne banany i tak się zajęli temi nadzwyczajnymi roślinami i pięknymi ptakami, że zupełnie zapomnieli o zapowiedzianej niespodziance.

Tymczasem gaj bananowy zaczął się przerezedzać, słońce paliło coraz silniej, dzieci ukryły się pod parasol, który Mama rozłożyła, były zgrzane i spocone, a Zosia obejrzała się, czy są palankiny, bo nie miała już ochoty iść pieszo.

— Chwilkę jeszcze cierpliwości — rzekł Ojciec — nie warto tu już wsiadać do palankinów, zaraz je odprawimy do Kalkuty, a stąd puścimy się w dalszą drogę innym sposobem.

— Niespodzianka! — zawołał Adaś, uderzając się po czole.

— Co to będzie? co to będzie? — powtarzała znów Zosia.

Rodzice nic nie mówili, tylko spoglądali na siebie z uśmiechem, a Mama nieznacznie pochyliła parasol, zakrywając niby dzieci od słońca, a naprawdę osłaniając widok przed niemi. Po chwili jednak nagle parasol podniosła, Adaś i Zosia wydali okrzyk podziwu i zachwytu. Na łączce, na skraju lasku bananowego, stały dwa przepyszne słonie, przykryte pięknymi purpurowymi kapami, na grzbiecie ich umocowane były wygodne siedzenia, wysłane tak samo miękką purpurową tkaniną. Z przodu, na karku każdego słonia, siedział Indyanin przewodnik, z krótką włócznią w ręku zamiast bicia.

— Pojedziemy na słoniach! to jest niespodzianka! — wołały dzieci uszczęśliwione. A jednak po chwili, gdy Ojciec powiedział, że pora wsiadać, bo droga daleka, a dziś przed-

nocą muszą stanąć w domu, mała Zosia przytuliła się do Mamy i cichutko wyszeptwała.

— Ja się boję, Mamuniu, to słonisko takie ogromne, jeszcze nas zrzuci i zabije; ja wolę palankinem jechać.

— To jedź ty sobie palankinem, a ja pojedę na słoniu — rzekł Adaś, który tych słów siostrzyczki dosłyszał — ja się nic a nic nie boję. Czy Tatko pozwoliłby nam jechać na słoniach, żeby to było niebezpieczne?

— Bardzo rozsądnie mówisz, synu kochany — powiedział Ojciec, ściskając serdecznie chłopczyka — Ojciec zanadto was kocha, aby miał dobrowolnie narażać was na niebezpieczeństwo. Uspokój się, Zosieńko, te ogromne słonie łagodniejsze są od naszych koników, i z pewnością nic nam złego nie zrobią. Chodź, wsiądziesz razem ze mną, ja cię na kolanach będę trzymał; czy będziesz się bała na kolanach Tatki?

— Nie, nie, już się nie boję — rzekła Zosia odważnie i podała Tatce obie rączki. On ją wziął w objęcia, podniósł i zbliżyli się wszyscy do jednego słonia.

Na znak przewodnika, który zeskoczył na ziemię, ogromny zwierz przykląkł na wszystkie cztery nogi, ale pomimo to siedzenie umieszczone na jego grzbiecie było jeszcze za wysoko, ażeby można było wsiąść na nie wprost z ziemi. Więc Indyanin przystawił zgrabne schodki, Mama pierwsza na nie weszła, usiadła wygodnie na foteliku purpurowym, potem Indyanin wysadził Adasia, wskoczył sam na kark słonia, a roztropne i poczciwe zwierzę podniosło się powoli, ostrożnie, ażeby zanadto nie wstrząsnąć podróżników.

— O, jak wysoko! jak ślicznie wszystko ztąd widać! Cóż to za paradna jazda! — tak wołał Adaś, siedząc na grzbiecie słonia, a Zosia, już teraz zupełnie uspokojona, wsiadła z Ojczulkiem na drugiego, rozłożyli ogromne parasole, bo słońce bardzo przygrzewało i ruszyli w drogę.

— Mnie się zdaje, że ja siedzę na dachu i cały dom jedzie ze mną — mówił Adaś, a Zosia oparła główkę na ramieniu Ojca i siedziała cichutko, bo ją sen zmorzył; wkrótce też przymknęła oczki, główka jej opadła coraz niżej, Tatko utulił ją w objęciu i usnęła tak smacznie, jak w łóżeczku.

Przebudziły ją głośnie okrzyki Adasia.

— Wstawaj, Zosiu, wstawaj! wypisz się w nocy, a tu wszędzie tyle prześlicznych rzeczy widać. Czy ty wiesz, co to rośnie przy

drodze? to trzcina cukrowa, ten grzeczny Indyanin, co z nami jedzie, zerwał cały pęk i dał mi parę kawałeczków. Żebyś wiedziała, jakie to wyborne! syrop cukrowy, słodziutętki, sączy się ze środka tej zielonej laseczki.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Łamigłówka kryształowa.

(Maryni z Welezina.)

1. Spółgłoska.
2. Rodzaj oświetlenia.
3.
4. Liczba.
5. Samogłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą rzekę w Polsce.

Łamigłówka zgłoskowa. (Alinki.)

Z następujących zgłosek: a—am—ar—bo—be—bin—de—em—fy—oz—ra—ro—rat—ru—ryg—ra—tle— ułożyć siedm wyrazów:

1. Mąż z biblii znany.
2. Narzędzia muzyczne.
3. Sławny wódz hiszpański.
4. Sławne w całym świecie miasteczko.
5. Wódz muzułmański.
6. Uczony żydowski.
7. Góra w Armenii.

Początkowe i końcowe litery, czytane od góry do dołu, utworzą imiona królowej polskiej i króla jej małżonka.

Rozwiązania do Nr. 13-go.

Łamigłówki w kwadraciku:

L E W

E W A

W A Ł

Łamigłówki kryształowej.

D

S U M

D U N A J

M A K

J